

BOGUSŁAW HOLUB

GROSIK za historię

Cisza, Obywatele! Przymknijcie oczy i milczcie! Albowiem historia przewinie się obok Was. I to w jeden dzień.

Pamiętacie rok 1953? Zjechało się do Was wiele „narodu”. Uliczki zapchane autami. Ludzie biwakowali gdzie się dało. Takiego zjazdu nie pamięta Wasze miasteczko od wieków. Znaleźliście się na pierwszych stronach gazet i tygodników. Kronika filmowa umieściła Was w swoim serwisie wśród największych wydarzeń tygodnia. Byliście wtedy zażenowani, oszobotomieni pompą z jaką o Was pisano i mówiono. Aż skończył się huczek. Został na „centralnym placu” skromniutki pomnik Wielkiego Myśliciele i wspomnienia podniosłych uroczystości. Zostały szare dni. Więc po co było się pchać ze swoją przeszłością i swymi aspiracjami? Nie wypada robić przetargu z historią.

DLACZEGO PLECAMI DO HISTORII?

Mroźny ranek. Na rynku przed kościołem, gdzie zatrzymuje się autobus — grupki ludzi. Babinki okutane w kraciaste chusty oczekują na sumę. Stoją nieruchome. nęme, podobne do światełek rzeźbionych w drzewie. Mają takie same twarze szerniałe od starości i jakąś zadumę w oczach. Dalbym wiele, żeby wiedzied o czym myśla. Skostniały z zimna chłopina przy straganie zachęca do kupna rozłożonych na desce piernków i tanich cukierków w kolorowej folii.

Dzwonek na nabożeństwo porusza nieruchome figurki. Trucholkiem wbiegają do wnętrza świątyni. Zależniący sprzedawca przysiadł zrezygnowany na stojącej obok straganu skrzynce. Obchodzą kościół dookoła. Na murze jednej ze ścian kościoła odnajduje napis:

„Ku upamiętnieniu wyjścia wojsk polskich z Wolborza na zwycięski bój pod Grunwaldem r. p. 1410 oraz przypomnieniu niespożytych sił Narodu Polskiego na pobudki potomnych ku baczności do obrony Ojczyzny tablicę tę w lipcu 1927 roku ufundowało Zrzeszenie Piotrkowiaków”.

Zaczyna się historia — pomyślałem. Później poinformowano mnie, że wzmianki o Wolborzu datują się ponoc od roku 866. Osadę Wolbórz wymienił w Falzyskacie Mogielnicielem z roku 1065 i w bulli papieskiej, papieża Innocentego II z r. 1136. Jeżeli wolborzanie twierdzą, że gród ten istniał już w IX w., mają w tym widać swoje racje. W każdym bądź razie sam

fakt koncentracji wojsk królewskich w Wolborzu przed Wielką Wojną z Zakonem jest wystarczającym powodem do dumy. W 1939 roku hitlerowcy wzięli sobie odwet za tę koncentrację. Spłonęło wtedy 3/4 Wolborza.

Na placu Jagielly stoi kamień pamiątkowy ku czci Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Frycz był tu wójtem i tu umarł. Co prawda bardziej okazałe pomniki widziałem na grobach rzemieślników na starym cmentarzu w Łodzi, myślę jednak, że przemysłni projektanci pomnika mieli zapewne również jakieś swoje racje. Bardziej okazały pomnik kontrastowałby z otoczeniem. A tak jest taki sam jak i okoliczne domki. Skromny.

Każdy zresztą zakątek Wolborza ma swoją historię. Zamek pobiskupi, blonia otaczające osadę i uliczka ostatniego burmistrza miasta — Łąckiego. Nazwa tej uliczki zachowała się od 150 lat. Zyczyć tylko współczesnym, aby ich imiona przetrwały taki okres czasu. Zdzławiająca jest zresztą znajomość historii, jaką zdradzają mieszkańcy Wolborza.

„Tu rozpoczęła się kłeska Zakonu” — twierdzą wolborzanie. Może mają rację.

W przyszłym roku ma podobno wyjechać z Wolborza „drużyna rycerska” na uroczystości 550-lecia bitwy pod Grunwaldem. Przeznacza się ołbrzymie sumy na uświetnienie miejsca bitwy. „O Grunwaldzie mówi się i pisze — mówią z żalem. — A o nas? Cisza”.

NIEDZIELA NA WSI

Nabożeństwo skończone.



odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II, ŁÓDŹ, dn. 20 grudnia 1959 r.
Cena 1 zł Nr 51 (95)

„Mile złego początki”
— O sprawach wychowania seksualnego młodzieży i innych — zdanie lekarzy
na str. 10

KULISY Patrz
OPERETKI str. 3

NAJ lepszy } UPOMINEK GWIAZDKOWY
tańszy } to SWIATECZNE ODGŁOSY

W NUMERZE M. IN.
4 KONKURSY * 2 KRYMINALE * AMBASA-
DOR W BUTELCE * TAJEMNICE
MAXA KELLERA * I INNE POZYC-
JE

16 STRON - CENA 1,50ZŁ - JUŻ W ŚRODĘ 23 GRUDNIA

Ludzie przemycają ułczkami do domu. Młodzie skrecją do gospody. Ładne, ubrane z krakowska kelnerki, z wdziękiem obsługują przybyłych. Dwie sale gospody nabite ludźmi. Zaczyna się niedziela na wsi.

Łażę po osadzie. Oglądam wystawy. Siedzący w ok-

nach ludzie — oglądają mnie. Jestem przybyszem. Zapewne myślą — do kogo „on” przyjechał i po co? Ludzie się tu znają, oby nie ujdzie ich uwagi. Mimo święta cyrulicy wolborscy mają otwarte rezury. Jest ich trzech na jednej ulicy. Czynny jest również prywatny sklep z galanterią. Utarg lepszy niż w dzień powszedni. Odpadła konkurencja GS-u.

W Ośrodku Zdrowia zastaje dr Siniarskiego. Wpadł zajrzeć do chorych. Ubrany w fartuch i maseczkę „wizytuje” rekonwalescentów. W Izbie Porodowej kilka kobiet. To młode matki. Małe szkraby śpią po karmieniu. Niemowlaki siedzą w Izbie 10 dni. W tym czasie codzienne wykłady i podręczna biblioteczka zdrowia przygotowują matki do właściwej pielęgnacji niemowląt. Doktor chwali swoje pacjentki. Są zdyscyplinowane. „Zadane” tematy przerabiają skrupulatnie. Wszędzie idealna czystość — wi-

dnę, ciepłe sale. Matki są zadowolone. W gablotce leżą środki antykoncepcyjne.

— Kupują? — pytam.
— Raczej nie.
Ośrodek istnieje 10 lat. Ładny nowoczesny murowany budynek. Najbardziej okazały w osadzie. Doktor Siniarski nie przypisuje sobie zasługi jego powstania. Dzieli ją z byłym sekretarzem gminy Szwedem. Twierdzi skromnie, że gdyby nie Szwed — Wolbórz nie posiadałby do dziś własnej przychodni zdrowia, zakrzewionych i uporządkowanych placów i nowego budynku Prezydium Rady. W budynku tym mieści się również świetlica i biblioteka gromadzka.

Zaglądam do świetlicy po południu. W kacie telewizor, około 60 osób siedzi cicho jak przysłowiowe trusie. Transmisja meczu piłkarskiego. Wyszedłem na palcach.

Wracam wieczorem. Już z ulicy słyszę szatańską

„Cza Cze”. Oho — zaczyna się. W wyobraźni widziałem już podskakujących chłystków, rozwydrzone dziewczuchy i pljanych muzykantów. Akurat takich, jakich oglądał w Wolborzu swojego czasu jeden z reporterów warszawskiego dwutygodnika „Współczesność”. Miałem pecha. Wyobraźnia została za drzwiami.

Na środku sali tańczy około 20 par. Przynajmniej drugie tyle stoi pod ścianami. Kilku starszych panów rozgrywa partie szachów. Pięciu młodych chłopców na swój sposób improwizuje popularne szlagiery. Robią to ze sztuczną pozą podpatrzoną u zawodowych muzykantów. A mnie się zdaje, że jestem na tak zwanym prozonym wieczorku tanecznym u jednej z tutejszych rodzin.

(Dokończenie na str. 5)



Ulica Kijelkoporska w zimowej szacie jest równie smętna jak w lecie



Poza —
ustrojowa
sprawa
wychowania

...Do urzędu zgłasza się interesantka, kobieta młoda i ładna. Nikt jej nie zna, nikt nie pyta o pochodzenie ani po zycie społeczną, ale ponieważ w pokoju urzędowym, wyłącznie mężczyźni, zostaje obsłużona sprawnie i uprzejmie. Lepiej niż inni. Należy więc do wybranych, do „równiejszych” używając Pańskiej nomenklatury.

Dalsze koleje sprawy prowadzą jednak do pokoju numer dwa, gdzie pracują same stare panny. I oto dotychczasowa równiejsza spada w hierarchii o kilka szczebli, poniżej poziomu równych.

Czy sądzi Pan, że ustroj socjalistyczny jest mocen usunąć ten anachronizm? A może to jest pozaustrojowa sprawa wychowania?...

(mgr F. Z. Łódź).



Podział
leżący
w naturze
ludzkiej

„Podział na „równych” i „równiejszych” istniał zawsze. To już leży w naturze ludzkiej. Trudno na przykład wymagać od człowieka, którego córka jest kasjerką w kinie, by stawał w kolejce po bilety, zamiast załatwiać to z córką. A już w ten sposób staje się „równiejszy” w stosunku do tych, co stają w ogonku.

Czy Belfer chciałby, żeby ojciec kasjerki dla zasady demokratycznej stawał w ogonku? Jeśli tak, jest utopista...

(Z listu J. K. Łódź).

PĘD DO KARIERY
I KONSEKWENCJE

...Gdyby nie istniał podział na „równych” i „równiejszych” ludzie nie uczyliby się, nie dokonywali wynalazków, nie starali dobrze pracować, nie komponowali symfonii i nie pisali powieści. Jednym słowem — zabrakłoby bodźców dla osiągania czegoś w życiu, jak to się mówi — robienia kariery.

Nawet robotnik dobrze pracujący nie zarabiałby więcej od źle pracującego, a więc nie starałby się dobrze pracować. A dobry robotnik jest „równiejszy” od złego. Cieszy się większym szacunkiem, więcej zarabia, co jest istotnym wyróżnieniem życiowym...

(z listu B. K. Piotrków)



KULTURA I OBOWIĄZEK

Parę lat temu jechałem późnym wieczorem na Dworzec Kaliski. Była jakaś przerwa w ruchu tramwajowym, a właśnie zbliżała się pora odjazdu kilku pociągów. Wszystkie wagony tramwajowe obwieszane były „winogronami”. Przy zbiegu Kopernika i Żeromskiego motorniczy „osemki” którą jechałem — zapowiedział, że tramwaj zawraca, bo jest spóźniony. Nie pomogły protesty i ziorzeczenia pasażerów, a obecni przy tym milicjanci nie interweniowali. Mnóstwo ludzi pobiegło piechotą na dworzec. Z walizkami, z małymi dziećmi. Spieszyłem się, a wyjeżdżałem na dłuższy czas, nie wiem, czy zdarzenie miało dalsze konsekwencje. Przypuszczam, że nie.

Powie Pan, że było to nadużycie władzy. Pewnie. A jednak znalazłoby się wśród nas parę osób na eksponowanych stanowiskach. I okazali się mniej równi.

Pan Dyrektor. Czasami tak w życiu bywa. Nagle do lady podchodzi ekspedientka z sąsiedniego MHD-Włókno jest w fartuchu, wybiegła ze sklepu w godzinach pracy. (Musiała, inaczej nie otrzymałaby cytryn). Została obsłużona pierwsza i, o dziwo, nikt nie protestuje. Jej czas jest w tej chwili najdroższy, bo mierzony czasem oczekujących na nią klientów. Ona jest „równiejsza”, nawet od dyrektora.

Panie Redaktorze! Protestuje Pan przeciw rozciąganiu nierówności na potoczne stosunki międzyludzkie. A przecież czas pisarza, uczonego, dyrektora cenniejszy jest, nawet w godzinach pozasłużbowych, od czasu — dajmy na to — referenta, który po ukończeniu zajęć nie ma żadnych urzędowych zmartwień. A przecież afirmując nasz ustroj winniśmy — przynajmniej w teorii — przyjąć, że ktoś, kto awansował na dyrektora, musiał mieć jakieś istotne zasługi. A zasługi należy szanować. „Urawn-

lowka”, jaką Pan proponuje, jest trochę niebezpieczna. Prowadzi do anarchii. Przypomina „dalej gramotniję”, a może także „śmierć frajerom”.

Wydaje mi się, że nawet w idealnej strukturze społecznej, kiedy wszyscy będą jednakowo wykształceni, nie osiągniemy absolutnej równości. Znajdą się ludzie zdolniejsi od innych (albo bardziej doświadczeni, chociażby na skutek wieku). Oni z natury rzeczy zajmować będą wybitniejsze stanowiska i będą ponosić większą odpowiedzialność. Ergo, zasługiwac będą na większy szacunek.

Wydaje mi się Panie Redaktorze, że podział na „równych” i „równiejszych” nie jest istotny. Chodzi o to, by ze stosunków między ludzkimi wyrugować chamstwo i nieczliwość. A po drugie, by każdy należał do pełni swoje obowiązki.

Proszę przyjąć wyrazy poważania

H. A.

Mój wywód o „równych” i „równiejszych”, czyli nie-demokratyzmie obyczajów w Polsce spotkał się, jak widać, z dosyć jednorodnym atakiem Czytelników. Pominę tu wszystkie możliwe w tym miejscu złośliwości, jakie mógłbym wypisać, zaznaczając tylko, że znajdują się one w sferze mojej możliwości i dokonuję tu dobrowolnego aktu rezygnacji. Odpowiem pokrótce moim polemistom.

Z wszystkich listów, jakie napłynęły w tej sprawie zarówno tych, których fragmenty drukujemy, jak i tych, których zmieścić na łamach nie zdołaliśmy — wynika przede wszystkim przepętne nieporozumienie.

Stwierdziłem, że istnieje u nas pokaźna dysproporcja pomiędzy demokracją ustrojową a demokracją społeczną. To znaczy, że ten drugi zaofowany jest w stosunku do tego pierwszego.

Czytelnicy zaś zareplikowali, wyrażając niewypowiedziane mniemanie. Iż urwałem się z przedszkola i postuluję jakiś absolut równości międzyludzkiej. Pouczają mnie przy tym, że ładniejsza dziewczyna zawsze będzie przez mężczyzn traktowana lepiej, niż brzydka, że dobry robotnik cieszyć się musi większym szacunkiem i zarobkiem niż zły, że ojciec kasjerki kinowej nie stanie w ogonku po bilety itd.

Wydaje się, iż są to tak oczywiste prawdy, że tylko niezwykle odporność związana z zawodowym przyzwyczajeniem pozwala mi nie obrażać się na mych kontrawersarzy, za posyłanie mnie do frejbówki.

Pan H. A. dorzuca tu jeszcze spostrzeżenie, iż ktoś „równiejszy” w swoim biurze, przestaje być „równiejszym” w tramwaju czy w sklepie, gdzie strona „równiejsza” staje się motorniczy lub ekspedientka. Mógłbym tu jeszcze dopowiedzieć, iż np. niekoniecznie minister gra w bridża lepiej od swojego woźnego i ciągnąć ową listę w nieskończoność.

A jednak i wśród tych oczywistości, nie mających zresztą zbyt wiele do rzeczy, są pewne wnioski i konkluzje wzbudzające mój sprzeciw. Na przykład: co to znaczy, iż „czas pisarza, uczonego czy dyrektora” jest cenniejszy niż innych ludzi? Merytorycznie można się z tym zgodzić. W czasie wolnym od stania w ogonku pan Kowalski może iść tylko do kina, a pan Grzegorz Timofiejew może napisać trylogię pod nagrodą literacką m. Łódzi. A wiec kalkuluje się, by pan Timofiejew nie stał w kolejce. Wszakże obawiam się, iż napisano za cenę owego niestania w kolejce pomnikowe dzieło łódzkiej literatury, będzie produktem nadzwyczaj społecznie kosztownym. Jeśli zdolność twórcze i społeczna produktywność jednostki przebiega na przywileje, rozmaite przywileje od niestania w ogonku poczynając na jakichś bardziej szcze-gólnych przewilejach kończąc — niebawem zbudowalibyśmy jakąś przedziwną drabinę feudalną. W obliczu jej istnienia nie tylko nie można by marzyć o jakimkolwiek demokratyzmie obyczajów, ale nawet o demokracji w sferze, że tak powiem istoty rzeczy, w sensie ustrojowym. Jest to kwestia wyboru, co się bardziej oplaca. Uważam, że bardziej się oplaca, żeby Grzegorz Timofiejew stał w ogonku. Nigdzie nie jest powiadziane, że demokra-

tyzm obyczajów musi nie kosztować. Problem polega na tym, czy koszty te są opłacalne.

Sięgnę tu do pewnego aktualnego, nie polskiego przykładu.

Jak wiadomo, we francuskim Zgromadzeniu Narodowym była awantura o to, iż odbywającemu służbę wojskową mężowi Bardołki udzielano zbyt często urlopów czy też przepustek do miasta. Odpowiedni minister bardzo się z tego tłumaczył. Ową małżonkę Pierwszego Biustu Francji jest żołnierzem — jedną powiedzmy piętnastotysięczną dywizji. Na wdziękach jego małżonki Republika Francuska zarabia ponoć roczne kwoty przewyższające dochody płynące z ogromnego francuskiego przemysłu samochodowego. Rocznie małżonka tego żołnierza wystawia więc Francji, nie wiem, jedną czy też pięć dywizji. W każdym razie Francji opłaca-

sportową bądź telewizyjną itd.

Myślę, że moi drodzy polemiciści zdolni są odróżnić te rzeczy. Wszakże atakowane przeze mnie zagadnienie leży w sferze równości wobec prawa i w sferze życia publicznego, praktyk urzędów jako urzędów itd. Chodzi mi o kształt stosunków międzyludzkich, noszących u nas balast nie tylko burżuazyjnych, ale feudalnych przyzwyczajów. Jest głęboka różnica pomiędzy tym, że urzędnik lepiej traktuje ładną dziewczynę od brzydkiej (choć kultura urzędowania wymaga, by tego zbytnio nie uwewnętrzniał), a tym, że inaczej traktuje dobrze ubranego człowieka, niż źle ubranego, człowieka na wyższym stanowisku, od człowieka na niższym itd. Decydują tu pobudki psychiczne tych wyróżnień.

Pierwsze są obojętne moralnie, drugie nie. Jest różnica pomiędzy tym, że pan dyrektor X wieśnia sobie nad łóżkiem portret ulubionego pisarza, którego darzy szczególną admiracją i w ten sposób go wyróżnia, a tym że w jego nawykach życiowych leży obracanie się w kręgu towarzyskim ludzi odpowiadających mu urzędniczą rangą, dlatego tylko, że piastują taką rangę.

Pan H. A. sprowadza rzecz do tego, by nie było w stosunkach międzyludzkich chamstwa i nieczliwości. Oczywiście, nawyki chamstwa i nieczliwości są bardzo przykrymi przywarami, ale to jednak zjawiska z innej płaszczyzny. Niedo- demokratyzm obyczajowy może być zaprawiony cesarsko- perskim ceremoniałem grzecznościowym, a nie zmienić to jego istoty.

Na linii mego ataku leżą- ły fakty, ale tylko jako zjawisko wtórne. Chodziło mi o kształt postaw ludzkich, tworzących atmosferę, wpływających na charakter współżycia społecznego.

Ze na prowincji wszystkich mieszkańców miasteczka opinia publiczna szereguje, układa na swoistej drabinie „pozycji społecznej”, a co gorsza kryteria ocen w tym względzie są zgola dziewiętnastowieczne.

Ze sprawa urzędniczej rangi wpływa na życie pozabiurowe, tworzy predyspozycję psychiczną uważa- nia się za coś lepszego i że takie postawy ogół odruchowo akceptuje. Ze o załatwie- niu sprawy w urzędzie decyduje nie tylko meritum sprawy, ale też to, jaki człowiek za tą sprawą stoi itd.

Uważam że dla szarego człowieka na codzień nie mniej ważny jest obyczajowy demokracyzm niż istotna demokracja. I że często, zresztą mylnie, sądzi się tą drugą przez przyrząd owego obyczajowego demokracyzmu. Dlatego nie jest to sprawa tylko moralna, czy tylko społeczna, ale również polityczna.

Na koniec mała obserwacja pewnego zdarzenia. Rozegrało się ono kiedyś na Piotrkowskiej. Ulicą szła pewna Ważna Osobistość w towarzyszywie Troche’ Mniej Ważnej Osobistości. Przeszli ulicę nieprawidłowo, przy czerwonym świetle. Przy mnie stał milicjant na przystanku. Zauważył że przechodzących ulicę, gdy panowie byli już na środku jezdni. Nie mógł widzieć, ani wiedzieć kto zech. Podniósł tedy gwizdek do ust. I nie zagwizdał. A nie zagwizdał dlatego, że obaj panowie pedesli i wsiadli do eleganckiej limuzyny.

To są przecież jakies sym-ptomatyczne odruchy.

BELFER



Ostatnie pociągnięcie pedzelkiem. Pani Jadwiga Kenda, chociaż sprawuje „władzę artystyczną” musi słuchać inspicjenta. A ten już zapowiedział: „Za pięć minut zaczynamy”



Michał Lasowy, Janusz Duński i Jerzy Sidorowicz — jak napisal w ostatnim numerze „Odgłosów” Leopold Beck — najefekowniej chyba podejmują koncepcje reżyserską, parodiując postacie fidelesciowe.

KULISY OPERETKI



A to już gra...



Janina Gutnerówna w pośpiechu poprawia włosy. O dwa metry od niej toczy się akcja. Za parę sekund i ona włączy się do gry, a publiczność będzie podziwiać wdzięk i sołew aktorki.



Ten portrecik można by zafotografować „Marzenie” Pani Urszula obserwuje zza kulis grę swoich starszych kolegów. Ale i ona wejdzie za chwilę na scenę i powie kilka słów...

Za kulisami — czyli o sprawaach zakrytych przed publicznością. Niestety, nie o wszystkim będziemy pisać. Czy wiecie czytelnicy, co to są kulisy teatralne? Gdy aktor wychodzi ze sceny i powiada, że idzie do salonu, publiczność jest przekonana, a przynajmniej chce być przekonana, że za boczna dekoracją istotnie znajduje się ów salon, w którym toczy się dalszy ciąg akcji. Wierzymy we wszystko, co nam sugeruje scena. A jaka jest prawda, co porabia w tej chwili aktor?

Kulisy odzieraają ze złudzeń, choć to może za poważnie powiedziane. Za kulisami przygodny obserwator doznaje pewnego rodzaju rozczarowania. Za tymi kulisami. Być może, że są teatry, ja o takich w Łodzi nie słyszałem, w których aktor po opuszczeniu sceny siada na miękkim fotelu i odpoczywa. Być może.

Ale nie w naszym Teatrze Muzycznym. Za kulisami tego Teatru człowiek czuje się gorzej niż w przedślonku ubogiej stolarni. Ledwie można się przecisnąć wąskim przejściem, zastawionym w dodatku rekwizytami, które za chwilę znajdą się na scenie. Widać jak się zachowują nasi aktorzy za kulisami? Pani Janina Gutnerówna, świeża i śliczna na scenie, oddycha teraz ciężko ze zmęczenia, opiera się o coś, co kiedyś nazywano się stołkiem, odświeża usta jabłkiem. Pani Jadwiga Kenda narzeka, że jest duszno. Istotnie, jest gorąco, scena jest niewielka, przyciężona niskim sufitem, scenograf dokonuje różnych sztuczek, by dać złudzenie głębi i perspektywy, ale to powietrze nie odświeża ani miejsca nie dodaje... Człoto Jerzego Sidorowicza jest zroszone obfitym potem, szalona polka na scenie nie mniej męczy niż ochotnicza praca przy żniwach... Dwie adeptki, cóż można powiedzieć o nich, są bardzo młode i bardzo ładne, chłódza mu twarz szerokimi sukniami.

Odgłosy i brawa publiczności dochodzą tutaj jakby z odłali. Publiczność kwituje oklaskami zrecenzję dowcip, udany taniec, śpiew. Uwadze publiczności uchodzą drobne usterek, ale tu, za kulisami oko i ucho reżysera wylawia każdy fałsz, potknięcie. Kulisy są surowe, kulisy dostrzegają to, czego nie widzi publiczność siedząca w starych, skrzypiących krzesłach. Kulisy obnażają przede wszystkim ciężką (i trudną) pracę aktora.

Podziwiamy na scenie lekkość, wdzięk, swobodę aktorów. Nie widzimy ich zmęczenia. Aktor nie może pokazać zmęczenia. Nie wolno mu zdradzić swoich prywatnych trosk. Nie chce streszczać wszystkich esejów o aktorze, jakkolwiek w tym wypadku byłoby to właściwe. Co można powiedzieć o aktorze i jego pracy? Ze aktorzy są jedynymi „uczciwymi hipokrytami”. Szczytem ich ambicji jest być kimś innym, byle tylko nie sobą...

Widzieliśmy aktora za kulisami. To wystarczy, aby dojść do przekonania, że „nie ma drogi bardziej stromej aniżeli droga sławy, nie ma pracy cięższej nad dążenie do doskonałości”. Chociażby te doskonałości zdobywać na małej i dusznej scenie Teatru Muzycznego.

A życie prywatne aktora? To również kulis — bardzo często trudne i przykre. A ludzie, których zazwyczaj pomija się w recenzjach — maszyniści, elektrycy, technicy, rzemieślnicy. Ludzie związani z teatrem, pracujący dla teatru, dla jego sławy, pracujący ciężko, w nerwowym pośpiechu?

Tekst:
TADEUSZ
PAPIER

Zdjęcia:
WACŁAW
BILIŃSKI

odgłosy 3

Ludzie i technika szpiegostwa

Sprawy wywiadu nawet w przeszłości przedstawiały się do wiadomości publicznej ze znacznym opóźnieniem; najczęściej w ogóle nie przedostawały się na zewnątrz. Może jednym z nielicznych wyjątków jest sprawa wywiadu C. K. monarchii austro-węgierskiej. Jej kierownicy, po rozpadnięciu się tego cesarstwa, czuli się zwolnieni z przysięgi — i opowiadali w słowie i druku bardzo wiele. Do takich gadatliwych należał szef Evidenzbüro, czyli wywiadu, od 1909 do 1914 r. — K. August Urbański von Ostromierz, który w latach międzywojennych opublikował sporo danych dotyczących przeszłości austriackiego szpiegostwa.

OSOBLIWA LATANINA BUDŻETU

Według p. Urbańskiego von Ostromierz, wywiad nie należał do dziedzin szczególnie docenianych w monarchii Franza Josefa. Poza etatami kilkudziesięciu oficerów, szef Evidenzbüro dysponował rocznie kwotą 150.000 koron (siła nabywcza mniej więcej dzisiejszych 40-45 tys. dolarów), a więc sumą śmiesznie małą, tak małą, że trudno uwierzyć w prawdziwość tej informacji. W pewnej chwili p. von Ostromierz zwierzył się, że zdecydował się kiedyś na sprzedaż fikcyjnego dokumentu sztabowego obecnemu wywiadowi, by w ten sposób załatwić najpilniejsze wydatki.

WYWIADOWCY WYDRWIGOSCY

Poza zorganizowanymi w trybie wojskowym szlakami wywiadowczymi istnieł zawsze agenci obierający so-

kresie tym narastał konflikt bałkański. Los oficera był oczywisty: wyrzucony z armii, powędrował na wiele lat do więzienia.

ZDRAJCA Z DUŻĄ FANTAZJĄ

Carski attache wojskowy w Wiedniu usiłował pewnego młodego oficera, słuchacza wyższej szkoły wojennej. Za sowitym wynagrodzeniem zobowiązał się do dostarczenia

KŁOPOTY SZEFA C. K. EVIDENZ-BÜRO

szczegółowego planu ofensywy austriackiej w razie wojny z Rosją. Młody oficer wykaźał niezwykłą pomysłowość. Do planów strategicznych nie miał dostępu, lecz na podstawie wykładów słuchanych na akademii wojskowej, wykreślił na mapach swoją, prywatną wersję strategii C. K. austriackiej, sporządził dodatkowe memoriały, wyliczył środki transportu, zaopatrując je w podobne podpisy wyższych oficerów Ministerstwa Wojny i Sztabu Generalnego. Wydał się zapewne zwerbować przez wywiad płk. Batiuszyna oficerowi austriackiemu, że Rosjanie nie polapali się w fałszyfakcie. Zapłacili przecież gigan-

Mieliby przecież młodego, bardzo zdolnego oficera w szachu. Gdyby zawędrował na wyższe stanowisko sztabowe, mógłby oddać nieocenione wprost usługi.

NAJBARDZIEJ CENIENI WSPÓLPRACOWNICY

To, co mówił p. von Ostromierz o wartości pracy wywiadowczej attache wojskowych, nie ma już dzisiaj tak dosłownej wartości. Są to raczej uwagi historyczne. Otóż b. szef Evidenzbüro dowodził, że wiadomości agentów bywają złudne i nieprawdziwe.

Natomiast wykształcony oficer pracujący w dyplomacji i jako attache może przynieść nieocenione usługi wywiadowi zajmując się nim w sposób legalny. Przy okazji spotkań dyplomatycznych, odbywających się manewrów, parad wojskowych, rozmów z wyższymi oficerami — można było za czasów Franza Josefa zdobywać nie byle jakie informacje. Podobnie analiza debaty parlamentarnej nad budżetem, prasy fachowo-wojskowej, a także lokalnej, studiowanie działu ogłoszeń w gazetach dawało w sumie bardzo wiele wiadomości o stanie sił obronnych konkretnego kraju.

Przykładem mogły być np. ogłoszenia o zakupie parcel czy gruntów ornych przez państwo w określonych rejonach, ogłaszane przetargi na dostawy, wiadomości o rozbudowie magazynów, linii kolejowych itd. Tworzą one w rękach specjalistów całokształt zamierzeń potencjalnego przeciwnika. Tak samo każdy ruch jednostek, pożegnanie ich w mieście — odnotowywane w prasie lokalnej może mieć również nieocenione znaczenie wojskowe.

Tak oczywiście było przed pierwszą wojną światową. Dziś każde państwo chroni się przed ujawnianiem takich nieopatrnych wiadomości. Nieznane są nazwy i charakter jednostek, miejsca budowy obiektów o znaczeniu wojskowym, nazwiska dowódców, translokacje jednostek. Także przetargów na dostawy wojskowe nie publikuje się w żadnym współczesnym państwie. Stąd legalna rola attache znacznie spadła i raczej ograniczyła się do funkcji reprezentacyjnych. Chyba, chyba, jak to już wielokrotnie mogliśmy stwierdzić, że attache niektórych państw zaczynają się zajmować bardziej bezpośrednio metodą zdobywania informacji wywiadowczych, stając po prostu na czele siatki szpiegowskiej. To już jednak wykracza poza ramy legalności i jest obiektem bardzo czynnego zainteresowania kontrwywiadu.

(J. D.)



bie szpiegostwo jako proceder zarobkowy. Na takich natrafił również szef Evidenzbüro. Oto np. jeden z takich aferzystów doniósł, że oficer austriackiego sztabu generalnego spotkał się w pewnym paryskim hotelu z oficerem wywiadu francuskiego. Zaproponował wydanie zdraycy za sporą sumę pieniędzy. Gdy otrzymał sowity zadatek, zaczął kręcić, dawał bardzo niejasne wskazówki. Zawezwał go więc p. August Urbański von Ostromierz do Wiednia, gdzie na neutralnym terenie pokazywał mu kolejno fotografie wszystkich oficerów Sztabu Generalnego. Oczywiście — żadnego nie rozpoznał, i zamiast reszty obiecanego kwoty, powędrował do więzienia.

Daleko ciekawsza jest historia pewnego oficera artylerii w twierdzy Cattaro Nudzący się w tej zapadłej dziurze w przepięknej okolicy młody oficer otrzymał nieoczekiwanie propozycję napisania artykułu do geograficznego czasopisma wychodzącego w Szwajcarii. Za nadesłany felieton o na ogół nie znanych za granicą urokach okolicy Cattaro otrzymał piękne honorarium — 100 franków szwajcarskich z równoczesną prośbą o napisanie następnego artykułu, za który przesłano jeszcze większe wynagrodzenie. Po kilku miesiącach zaproszono młodego artylerzystę do Szwajcarii, gdzie pod pozorem towarzyskiej rozmowy wydobyci z niego informacje o bardzo dużym znaczeniu wojskowym, ponieważ w o-

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

STERIJINO POZORJE*

Od czterech lat odbywa się w Nowym Sadzie „Sterijino pozorje” czyli festiwal teatralny sztuk rodzimych autorów, w którym biorą udział najlepsze sceny Jugosławii. W maju zjeżdżają do tego o 70 kilometrów na północ od Belgradu położonego miasta zespoły teatralne z najodleglejszych zakątków kraju. Przedstawienia festiwalowe są uprzednio kwalifikowane przez komisję artystyczną, tak że już sam udział w festiwalu nowosadzkim stanowi pewne wyróżnienie.

Bedac w charakterze obserwatora na III festiwalu w 1958 r. i na IV festiwalu

w roku bieżącym, nabrałem przekonania o tej imprezie, która poprzez system nagród stwarza zachętę dla pisarzy i ludzi teatru dla tworzenia i wystawiania na scenie rodzimych utworów dramatycznych.

W ciągu dwóch tygodni trwania festiwalu Nowy Sad przeżywa corocznie istny najazd reżyserów, dyrektorów teatrów, literatów, krytyków teatralnych. Obok turnieju o palmę pierwszeństwa rozgrywanego się na scenie teatru nowosadzkiego, toczą się boje innego rodzaju: polemiki i dyskusje na temat teatru współczesnego i klasycznego.

List do redakcji „Odgłosów” w sprawie krawiectwa miarowego oraz zwolnienia z obowiązku...

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę mnie zwolnić od obowiązku napisania sprawozdania z przedstawienia sztuki „Rozwińmy się”. Inaczej zajdzie ciężki wypadek niesubordynacji, bo ja naprawdę nie mogę. Wcale nie dlatego, że chodzi o dzieło Wiktoryna Sardou i nie dlatego, że sztukę tę tłumaczył i adaptował Michał Orlicz, ceniony teatrolog. Wcale nie z tych względów, lecz zupełnie z innych. Istnieją aż trzy powody. Dwa zasadnicze i jeden taki sobie.

Nim jednak dojdziemy do spraw fundamentalnych, Szanowny Panie Redaktorze, zwracam uwagę na okoliczność znaną tylko milicji, mianowicie: zdarza się jeszcze i w naszych czasach, że jakiś śmiałek głosi, iż można żyć bez sztuk Wiktoryna Sardou. Trzech ostrzeżeń takich taki facet zostaje zakatrupion i to jadem lub nawet mokrą szmatą. Działa bowiem sąd kapturowy figur woskowych, który chce wśród analfabetów utrzymać wiarę, że Sardou nadał się do czegoś innego jeszcze niż właśnie do gabinetu figur woskowych.

A gdzie czysta prawda?

Wyłóż Panu Szanowny Panie Redaktorze, moją własną w tej materii prawdę, jako że straciłem wiele lat życia na ucieczce przed sztukami Sardou. Był on w swoim czasie jednym z najlepszych krawców miarowych. Trudnił się bowiem/dramaturgiem krawiectwem, dostarczał paryskim teatrom dobrze skrojone sztuki z rolami sztytnymi na miarę wybitnych aktorów.

No i w tym właśnie sęk, Szanowny Panie Redaktorze. Jeden z najlepszych krawców i krawców (jeśli chodzi o dramaturgię rozrywki) końca XIX wieku skrocił i uszył role na wzrost wybitnych aktorów i aktorek. Człowiek mniejszy wzrostem aktorskim nie wypełni tych szat. Porusza się na scenie nie we własnej skórze, nie w zakresie możliwości własnego talentu. To znaczy, że role te nie same w sobie są interesujące, lecz tylko jako działalność osób o określonym wroście aktorskim w danym fachu.

Nie wierzy Pan, Panie Redaktorze? No to pójdz Pan, by zobaczyć. Nieporozumienia teatralne są przecież poniekąd pożyteczne, o tyle mianowicie, o ile demon-



D. Kłopotka, L. Redo i St. Owoc w scenie ze sztuki „Rozwińmy się”

strują błędy, których można w przyszłości uniknąć. A „Rozwińmy się” jest żywiołową manifestacją nieporozumień, lekkiej, średniej i ciężkiej wagi. Dlatego uporczywie powtarzam moją prośbę o zwolnienie mnie z obowiązku napisania sprawozdania z tego spektaklu.

By jeszcze bardziej podkreślić moją prośbę ośmielam się wskazać na okoliczność, że w tym przedstawieniu każdy sobie rzepkę skrobie. Obok realistycznego pana de Prunelles (Tadeusz Schmidt) i takiejże Cyprianny (Danuta Kłopotka) gwałtownie farsowy Ademar de Gratignan (Lech Redo), wielce dramatyczny kelner (Zygmunt Urbański) i komisarz w stylu tak zwanych „dywanowych z cyrku” (kochamy cyrk, ale nie w teatrze!). Najważniejsze jednak jest, co powtarzam do granic wytrzymałości, że role są napisane pod aktorów o innej skali talentu, co znowu wcale nie znaczy, że artystom, których widzieliśmy w „Rozwińmy się” będziemy odmawiać uznania, gdy wystąpią we własnej skórze.

Tak się mają sprawy, Panie Redaktorze. Klamałbym,

mówiąc, że w „Rozwińmy się” nie ma żadnego... tego.

Jest! Taki moment szczytowy, który trwa kilka minut. Według mnie — szczyt kunsztu reżyserskiego. Kreacja. Otóż narzeczony obecny żony chce przypalić od papierosa pana de Prunelles. Ale rywal udaje, że nie zauważa rozpaczyliwych w tej mierze usiłowań Ademara. Wspaniała gra! Ta zasłania dialog, ale za to jest u baw po pachy. To trzeba zobaczyć, jak ten kawalek odstawiają.

Pan widzi, że jestem obiektywny, podkreślając wielką kreację w tym spektaklu. Na koniec poufna rada, Panie Redaktorze: dopłata ze skarbu państwa na jedynego widza teatralnego wynosiła w ubiegłym roku przeciętnie jakieś zł 17.

Jeśli Pan pójdzie, załadaj Pan stowę...

LEOPOLD BECK

Teatr 7.15, Wiktoryn Sardou „Rozwińmy się”, komedia w 3 aktach, przekład i adaptacja: Michał Orlicz, reżyseria: Zbigniew Koczanowicz, scenografia Jerzy Szeski.

go, jego roli w życiu narodu itd. Codziennym spektaklom festiwalowym towarzyszą teoretyczne odczyty na tzw. Wolnej Trybunie, połączone z dyskusją. W ten sposób w ciągu trwania festiwalu Nowy Sad staje się w zakresie teatru małymi Atenami, promieniującymi sztuką na cały kraj.

Sztuki festiwalowe możemy oczywiście mechanicznie podzielić na współczesne i klasyczne. Jeśli chodzi o te ostatnie, to czyni się starania, by co rok główny akcent kładł na innym z klasyków jugosłowiańskiej literatury dramatycznej. Tak np. tegoroczne „Sterijino pozorje” poświęcone były Marinowi Držićowi, renesansowemu pisarzowi, który żył i tworzył w XVI wieku w Dubrowniku. Aż trzy teatry wystąpiły zatem w Nowym Sadzie ze sztukami Držića, wystawiając znaną w Polsce z ostatnich występów Jugosłowiańskiego Teatru Dramatycznego komedię „Dundo Maroje” (czyli „Wujaszek - Maroje”) oraz

baśń fantastyczną „Tirena” i „Skapca”, którego bohater tytułowy jest kontynuacją skapca z komedii Plauta i starszym bratem molierowskiego Harpagona.

Wydaje mi się jednak, że sztuki festiwalowe należałoby uszeregować inaczej, nie według sakramentalnego podziału: klasyka i współczesność. Tak podział bowiem nie ma w sobie żadnych cech poznawczych. Linia demarkacyjną trzeba przeprowadzić wewnątrz obu rodzajów sztuk. Wówczas otrzymamy właściwy podział na teatr tradycyjny, mieszczański i na współczesny, szukający nowych dróg scenicznego wyrazu.

Właśnie IV festiwal w Nowym Sadzie był płaszczyzną starcia się dwóch sprzecznych poglądów na klasykę. Szlendarowym mężem tradycyjnego stosunku do spuścizny narodowej jest znakomity reżyser z Zagrzebia dr Branko Gawela, świętyni zwanka Szekspira, w latach dwudziestych osobisty przyjaciel Iwo Wojno-

wicza, czynny w teatrze od 1914 roku.

Gawela reprezentuje pietyzm i naukową wręcz ścisłość w przenoszeniu na scenę starych tekstów. Jako filolog i miłośnik starych tradycji dubrownickich, ma on do teatru stosunek trochę profesorski. Dodać przy tym należy, że klasyka jugosłowiańska jest dość uboga, nie ofituje w arcydzieła. O ile współczesny naszemu Rejow Držić napisał niewątpliwie uroczą komedię „Dundo Maroje”, o tyle inne jego sztuki, jak na przykład wystawiona przez Gawelę na IV festiwalu „Tirena”, są o wiele słabsze. W efekcie otrzymujemy przedstawienia nieciekawe, na których publiczność solidnie się nudzi, choćby dlatego tylko, że niemal nie rozumie archaicznego języka.

Diametralnie odmienny





Te władze nie świadczą bynajmniej o zacofaniu Wolborza. I w Łodzi można natknąć się na taką scenę.

Dalszy ciąg ze str. 1

Zabawa ta nie mieściła się w schemacie pojęć o wiejskich potańcówkach. Pani Kozłowska, kierowniczka tutejszej biblioteki, poznała mnie. Byłem tu dwa lata temu.

— Czytałem, że u was...
— Ach! Proszę pana. To ten ze „Współczesności” pisał o nas...

— Tak.
— Widzi pan, nie można mieszkańcom kryteriami oceniać wsi. Zwłaszcza jeżeli nie ma się o wsi pojęcia. Nie można naigrawać się ze zwyczajów ludzi dla których są one częścią tradycji. Pewnie, są to może tradycje trochę śmieszne, ale przecież nieszkodliwe społecznie. Ludzie tu żyją swoim życiem. Jeżeli nie daje się im nic bardziej atrakcyjnego, to nie można im odbierać tego, co mają już od dawna. Naigrawanie się z ludzi drażni ich i boli. Zwłaszcza, jeżeli to robi wielkomięski intruz.

— Słuchałem z uwagą. Te słowa warto sobie zapamiętać. — Podobnie było ze świetlicami — mówiła dalej

za to wielki szacunek dla łódzkiego oddziału TWP.

Kierowniczka pokazuje mi teraz duży album pamiątkowy.

— Niech pan spojrzy, to są zdjęcia ze sztuk, które graliśmy na wsi.

Na pierwszej stronie wśród artystów wiejskich poznaje twarze znakomych aktorów łódzkich Feliksa Żukowskiego i Andrzeja Szawalskiego.

— To jeszcze z tych czasów, gdy Teatr im. Jaracza miał nad nami patronat. Ale wie pan, jak zrobiono atak na świetlice i oni zrezygnowali. Szkoda, jeśli nam dużą pomoc. Takiej pomocy nam potrzeba. Śmiechem i kpina nie zrobi się kultury na wsi.

Nie ufam pani Kozłowskiej. Idę do gospody w poszukiwaniu „czarnej” młodzieży. Jest! Nawet dwóch! Trzeci to już starszy mężczyzna. Stoją przy bufecie. Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

— Zawsze wieczorem jest tu tak mało ludzi? — pytam.

Mężczyzna przytaknął głową.

— Za to w świetlicy zabawa.

zbawione są zdrowej wody. Trzy studnie głębinowe nie pokrywają nawet w dziesiętej części potrzeb osady. Zła woda, a przede wszystkim jej brak — sprzyja powstawaniu chorób zakaźnych. W tym roku w Wolborzu na ulicy Świętokrzyskiej zachorowało 9 osób. Tyfus brzuszny. Dwie na chorobę Heine Medina. Nie trudno o epidemie. Trzy lata temu z inicjatywy doktora Siniarskiego powstał tu Społeczny Komitet Budowy Wodociągu i Kanalizacji. Honorowym przewodniczącym Komitetu został największy higienista w Polsce prof. dr med. Marcin Kałczyński, rektor Akademii Medycznej w Warszawie. Opracowany kosztorys robót przewiduje na budowę około 10 milionów złotych. Według zapewnień dr. Siniarskiego sumę tę można zredukować o 4 miliony. Miejscowa ludność zobowiązała się przepracować po 5 dniówek przy robotach kanalizacyjnych. Każda rodzina wpłaca po 200 złotych. Członkowie Komitetu i nauczycielstwo po 1000 zł. Zebrano już kilkadziesiąt tysięcy złotych. Ludzie mają tu dużo dobrych chęci i wiele inicjatyw. Czytałem pogadanki pisane i wygłaszane przez nauczycielkę panią Sabinę Pieczyńską. Przemawia ona do rozsądku i uczuć mieszkańców osady. Zachęca do wytrwania w walce o kanalizację i wodociąg. Niestety, słowa jej jak i pisma miejscowych społeczników nie znajdują dostatecznego zrozumienia u władz zwierzchnich. Miejscowym instytucjom przysyła się nadal okazałe sumy na budowę lokalnych studzienek. Na najbliższe lata przeznaczono na ten cel około 2 i pół miliona złotych. Oglądając taką prowizoryczną kanalizację przy pałacu pobiskupim. Nieczystości wydostają się na powierzchnię. Zatrują okolicy i pastwisko. To zmarowane pieniądze. Przy dobrej woli dyrekcji śladziny ogierów w Bogusławicach można by wykorzystywać ich studnie na potrzeby osady.

Tymczasem inż. Józef Stanisławski z Rejonowego Zarządu Hodowli Elitarnej Zwierząt w Warszawie w piśmie nr RW 8/86/59 tak rozkazuje:

„Ob. inż. Andrzej Osadziński. Dyrektor Stada Ogierów Bogusławice

(Prawdopodobnie chodzi tu wyłącznie o kenię, uwaga B. H.) „Nie dlatego z nakładów inwestycyjnych naszego Ministerstwa wywiercono studnię głębinową, by dziś zacząć dzielić się wodą na zewnątrz...”

Doprawdy, rzadko spotykane sobkostwo. Studnia

wydaje 600 tysięcy litrów wody na godzinę. Jest w stanie zaspokoić potrzeby 12 tysięcznego miasteczka. Jej trzygodzinna działalność da wodę mieszkańcom Wolborza, Bogusławic i całemu stadu ogierów. A tu zakaz! Wody nie dawać. Czyżby Ministerstwo Rolnictwa w związku z nową polityką chciało rozwinąć hodowlę ogierów w Bogusławicach dwudziestokrotnie? Lokalne ambicje żagnciane przez pracowników przesłaniają ogierami, ludzi. Od bogusławickiej studni można bez trudu doprowadzić wodę do najszybciej wysuszonej ulicy Wolborza. Kilka metrów przekopu i ludzie mogliby cieszyć się czystą, zdrową wodą.

Pocziwy przewodniczący Gromadzkiej Rady wygadał się, że Wolbórz nie jest właściwy do obchodów Milenium, ponieważ trzeba by mu przyznać jakieś fundusze „reprezentacyjne”.

Tę opinię potwierdził dyrektor Liceum Pedagogicznego w Wolborzu. Podobnego zdania jest kierownik Wydziału Kultury PRN w Piotrkowie. Przetaczam fragment dialogu, jak z nim przeprowadziłem.

Ja — Czy to prawda, że tylko z finansowych względów pominięto Wolbórz w uroczystościach Tysiąclecia?

On — Tak. Ale ta sprawa stanie jeszcze na Komitecie, Ja — To wcześniej.

On — Zdażymy.

Ja — Gdy przyjadą do Wolborza zagraniczni reporterzy, a może nawet z korpusem dyplomatycznym na mający się odbyć wyjazd drużyny rycerskiej pod Grunwald, będą mieli uciechę, gdy zobaczą zaniedbane miasteczko.

On — Damy mieszkańcom przydział wapna do bielienia domów.

Ja — I farbki.

On — Farbki też.

Ja — I mydła, żeby się chłopcy wypucowali.

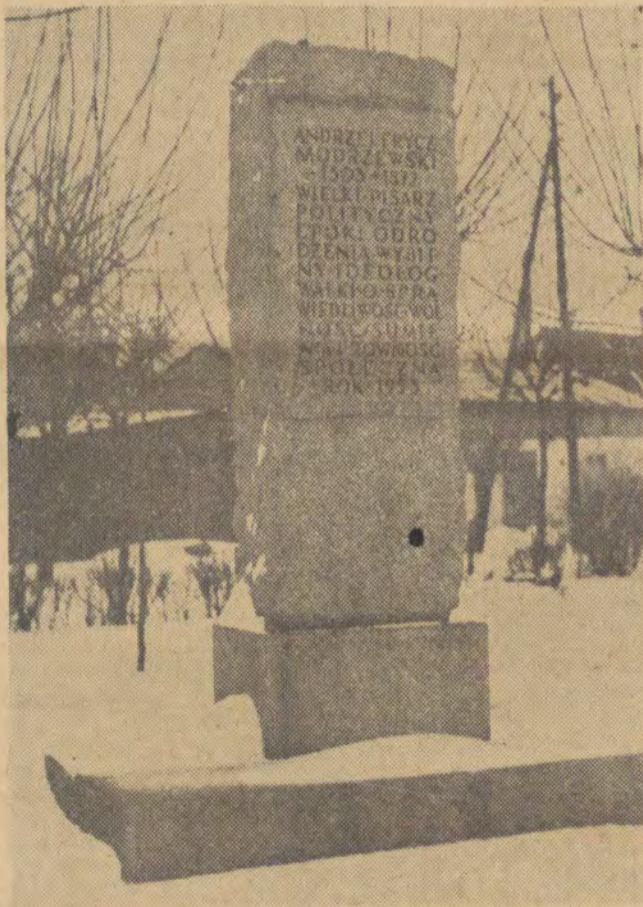
Tysiąclecie osady i przydział wapna. Kto się tu z kogo śmieje? Nie widzę powodów, dla którego miało by przemilczać historię Wolborza. Przeciwnie. W związku z rocznicą grunwaldzką trzeba mówić i o mieście, z którego wyszła na pogrom Zakonu wojska Jagielly. Można pokusić się o uzyskanie trochę pieniędzy z Funduszu Grunwaldzkiego. Można by wydać jakieś zyskowe perspektywy. Można by wiele. Nie można natomiast zostawić sprawy podniesienia zdrowotności i kultury Wolborza wyłącznie na barkach lokalnych Judymów.

BOGUSŁAW HOLUB

Zdjęcia

HENRYK KOZAKOW.

Grosik za historię



Pomnik Andrzeja Frycza Modrzewskiego

pani Kozłowska. — Kozłowski atakował wiejskie świetlice.

— Nie tylko on — wtrąciłem.

— Ale jego artykuł pamiętam. Podrwił sobie z ludzi, odebrał im chęć do pracy, ośmieszył. I co z tego? Pisał, że wsi trzeba wielkiego teatru. A w końcu i teatru nie ma i świetlice nie ma, jest za to Wielka Pustka i Wielka Apatia. Pan Kozłowski nie był wiadać nigdy na głuchej wsi, nie zna on monotoni zimnowieczorów, nie zna potworności bezruchu. W tej chwili my tu w Wolborzu prowadzimy jedyną świetlicę wiejską w całym powiecie piotrkowskim. Niech pan się przyjrzy tym ludziom. Co by oni robili, gdyby drzwi tej świetlicy były zamknięte na klucz?

— Nie wiem. Poszliby spać.

— Pan żartuje.

— W każdym bądź razie, telewizor przydał się wam. Byłem tu... o piątej.

— W tym czasie mieliśmy także wykład prelegenta z Łodzi na naszym Uniwersytecie Powszechnym. Uniwersytet istnieje u nas już trzeci rok, uczy się 38 osób, ale w niedzielę przychodzi 60 i 80 ludzi. Mamy

Mężczyzna uśmiechnął się smutno.

— Mało tu piją?

Kiwnął głową i śmiał się dalej.

— Czego się pan śmieje? Śmieli się teraz dwaj niedopieci młodzieńcy i kelnerka ubrana z krakowska. Starszy mężczyzna rechotał niesamowicie.

— Panie, on jest niemowa i głuchy — parsnął jeden z chłopaków.

Po śpiącej uliczce dudnił za mną rechot nieszczęśliwego człowieka. Powiedział mi później, że jest to jedyny niemowa w Wolborzu.

WODA ZA HISTORIĘ

Historia jest tu natrętna. Dawna i bardzo bliska. Jedną i drugą ściśle się z sobą wiążą. Daty, rocznice, wydarzenia. Pisma wychodzące stąd do powiatu i województwa naszpikowane są historią Wolborza. Klują w oczy laików. Zmuszają władze do szacunku dla osady. A najczęściej bywa w tych pismach wspomniana woda. Woda zdarna do picia.

Wolbórz położony jest w dolinach rzek Wolbórki i Moszczanki. Tereny o podłożu torfiasto-bagiennym po-

wiele gorzej jeśli chodzi o sztuki współczesne. Tegoroczny festiwal nie zapisał na swoim koncie ani jednej prawdziwie wartościowej pozycji tego rodzaju, tak dalece że nie przyznano nikomu z autorów przewidzianej regulaminem nagrody. Obok sztuk utrzymanych w tradycyjnej mieszczańskiej konwencji, z których ciekawszy był chyba dramat Mirosława Krleży „W agonii”, oglądaliśmy kilka sztuk modernistycznych, mocno zmanierowanych, jak „Pień jest zawsze pieńkiem” Josipa Tawczara czy „Radość życia” Joze Jaworszka.

Te słabsze strony tegorocznego festiwalu nie mogą przesłonić faktu, że sama idea „Sterijino pozorje” święci z roku na rok coraz większe triumfy. Festiwal staje się w życiu teatralnym Jugosławii swego rodzaju instytucją, z którą liczą się zarówno ludzie teatru jak i krytyka.

Na marginesie nasuwają

mi się uwagi dotyczące naszych stosunków. W zakresie festiwalu teatralnych nie mamy zbyt dobrych tradycji, przez ostatnie zaś lata imprezy takie nie były w ogóle organizowane. W tym roku mieliśmy pierwszy festiwal teatrów Polski Północnej w Toruniu. Przebija się o jakimś festiwalu ogólnopolskim w roku przyszłym, wymienia się przy tym Kraków, jako najodpowiedniejsze miejsce.

A gdyby... a gdyby przejawiać w tym względzie jakąś inicjatywę w Łodzi? Czy nie byłoby wielką rzeczą dla naszego miasta, gdyby tak do nas zjechały na festiwal najlepsze zespoły teatralne w Polsce z najlepszymi przedstawieniami?

*) Nazwa „Sterijino pozorje” pochodzi od nazwiska ojca teatru jugosłowiańskiego Jovana Sterija Popowicza (1806-56). „Pozorje” znaczy tyle co „festiwal”. A więc można by powiedzieć: „Festiwal Sterijowski”.

stosunek do literackiej przeszłości zaprezentowała na IV festiwalu spółka: Borysław Michajłowicz — jako adaptator i Jowan Putnik — jako inscenizator i reżyser spektaklu „Stradaja” według powieści pod tymże tytułem, napisanej w pierwszej ćwierci naszego stulecia przez pisarza Radoja Domanowicza. Przedstawienie to w wykonaniu zespołu Serbskiego Teatru Narodowego z Nowego Sadu (tego samego, który w roku ubiegłym wystawiał w Łodzi „Nadętą parweniuzkę” i „Himmeikommando”), uzyskało na tegorocznych „Sterijino pozorje” pierwszą nagrodę zespołową i spotkało się z gorącym przyjęciem publiczności i — o, dziwo — krytyki.

Satyryczna powieść Domanowicza posłużyła realizatorom do stworzenia spektaklu o bardzo aktualnych aluzjach. Autor miał wprowadzić na myśl społeczeństwo burżuazyjne i jego monstrualny aparat biurokratyczny, realizatorzy spektaklu

wydobyli jednak z tej cietej satyry pewne elementy uniwersalne, aktualne także i w państwie budującym socjalizm. W ten sposób powstało przedstawienie pokrewne „Łaźni” Majakowskiego w wydaniu dejmkowskim. Nie chcę zresztą wdawać się w rozważania z zakresu tzw. wpływołóg, odnotuję tylko fakt, że zarówno Michajłowicz jak i Putnik oglądali w roku ubiegłym podczas występów Teatru Nowego w Jugosławii inscenizację Dejmkowa „Łaźni” i „Żywota Józefa”, przy czym obaj wyrażali się o nich z entuzjazmem.

Podobnie nowoczesny, choć w zupełnie innym formacie, stosunek do spuścizny literackiej pokazał teatr belgradzki „Ateher 212”, wystawiając stylowo, lecz z pewnym przymrużeniem oka dwie jednoaktówki Joacima Wujicza, pisarza z epoki napoleońskiej.

Sprawy nowoczesnego teatru wyglądają w Jugosławii, podobnie jak u nas, o



„Dundo Maroje” — spektakl Zagrzebskiego Teatru Dramatycznego. Pośrodku z bębniem p. Kwirgicz, który za rolę Pometa otrzymał nagrodę za najlepszą kreację aktorską na IV festiwalu

Zanim pan Franek został podoficerem przemierzył wzdłuż i w szerz całą Europę. Był synem warszawskiego szewca, ale jak powiadał — „kopyto mu nie leżało”. Uciekł więc przez „zieloną granicę” do Niemiec i tak przez 8 lat wędrował po Czechach, Austrii, Szwajcarii, Włoszech... Jako uciążliwy cudzoziemiec bez papierów był wydalany z jednego kraju do drugiego, ale zawsze potrafił jakoś wrócić kuchennymi schodami. Żył tam w tych obcych krajach z pewnej sztuczki, którą mi nawet długo objaśniał, ale ja nie bardzo rozumiałem co i jak. W każdym razie na użytek podróżników po Europie może tylko tyle powiedzieć, że rzecz polegała na przenoszeniu wizerunku z widokówki na odlew gipsowy przy pomocy talerzyka, co pan Franek sprzedawał później jako „rzeczna, artystyczna robota”. W Polsce nie można podobno na tym robić kokosów, bo jak pan Franek zauważył, „chłop polski jest drań, cholera, nieufny i zaraz paluchem poskrobie i zobaczy, że to pie i fotomontaż”.

Już po wojnie pan Franek pływał w marynarce handlowej, ale po kilku latach „nadojelo” mu i osiadł w N. Pytałem pana Franka dlaczego, chociaż już znalazł powód. W N. było głośno o tym.

Z panem Frankiem można było rozmawiać na każdy temat: o literaturze francuskiej, aktorstwie nieboszczyka Leszczyńskiego, czy dalekich podróży. Jeden był



tylko temat — tabu: kobiety. Gdy niebacznie ktoś zaczął rozmawiać o kobietach, pan Franek od razu się zmieniał. Z dalekich podróży wywnioskowałem bowiem głębokie przeświadczenie, że każda



kobieta wprost czuła, by go złapać na męża. Nawet i tu, w N., gdzie można było znaleźć od biedy tylko jedną „pannę” do wzięcia pan Franek nie czuł się bezpiecznie. Ubzdurał sobie, że i ta 16-letnia dziewczyna zagięła parol na niego...

Pan Franek stronił więc od kobiet i nie zdarzyło się, by któraś z nich przekroczy-

dzieci, kubek w kubek podobnych do niego Ich wzajemne pożycie wydawało mi się bez zarzutu.

S. był szalenie delikatny dla żony, czuły, mówił do niej per „kochanie”, widnie było, że stara się użyć jej w ciężkiej pracy domowej.

Toteż prawie z niedowierzaniem słuchałem wnużeń pana Franka na temat moich gospodarzy.

„S. umie przetrzebić kobietę na człowieka. Tam nad Martwa Wisła był nawet sądowy karany za dotkliwe pobicie żony. A wszystko z zazdrości. Jemu się zdaje że jak on jest stary, a żona młoda, to ona musi go zdradzać. Pan wie, ja nie bronie kobiet — ale ta była niewinna. S. jest po prostu szaleńcem, to już nie jest normalna zazdrość. Jak to przychodzi do niego, krzyczy wtedy, że dzieci nie są jego, bje i katuje żonę. Później błaga

Dopiero S. zlitował się nad mną. Przejmiał opory żony i powiedział, że może się u niego zatrzymać. Później, gdy zostaliśmy sami, szepnął mi na ucho: „Ale liter to chyba będzie”...

Ostatniego wieczoru w N. (nazajutrz miałem wyjechać) postanowiłem wypełnić dług wdzięczności wobec S.

Wyciągnąłem z plecaka butelczynie przywiezionego jeszcze z Warszawy spirytusu zaprosiłem S. do swego pokoju, no i zaczęliśmy pić.

Żony S. nie było w domu. Zauważyłem, że mój gospodarz śpieszy się, jakby chciał wwsuszyć butelkę, nim żona wróci. Tak się też stało, ale jeszcze przedtem wydarzyło się coś, co mnie zaniepokoiło. Przyszli jakiś sąsiad i gdy zobaczył, że piemy, szybko się wycofał. Doremnie prosiłem, żeby wypił z nami po kieliszku. Powiedział tylko, że na osobności chciałby ze

Patrzyłem na mojego gospodarza przerażony. Miałem przed sobą zupełnie innego człowieka.

Krzyczał: z kim byłaś w obozie! Ty myślisz, że ja nie wiem, ty sukco!

Zrozumiałem wreszcie co miał na myśli tajemniczy sąsiad. Uświadomiłem sobie również, o czym pan Franek zapomniał mi powiedzieć: niemożliwa zazdrość S. miała alkoholiczne podłoże.

3.

Na próżno starałem się go uspokoić. Nie zwracał na mnie uwagi. Kobieta chciała uciec, ale S. odepnął ją od drzwi, przekreślił klucz w zamku i schował go do kieszeni.

Starałem się zasłonić sobą kobietę, ale rozwścieczony S. odepnął mnie silnie... Wtedy jakby oprzytomniał na chwilę, otworzył drzwi i powiedział mi:

wszyscy wiedzieli o chorobie S. i panowała, na ogół przestraszona umowa, by go nie częstować i nie sprzedawać mu alkoholu.

Przejeżdżając przez powiatowe miasteczko odwiedziłem



jeszcze żonę S. Powiedziała mi: „Już nigdy do niego nie wróce. Nienawidzę go”.

Wydawało mi się, że mam na sumieniu rozbitą rodzinę S.

Kilka dni temu otrzymałem list z N. Pisał nauczyciel.

„Wie pan, bwiem już w skrajnej rozpacz. Tu 5 dzieci S., a ja sam mam siedmioro. Oni żadnych krewnych nie mieli.

Poszedłem więc na milicję i wytłumaczyłem im, że S., zamiast iść do więzienia, powinien się zająć dziećmi. Wtedy dotarło zrozumienie, co była warta jego żona. Milicja nie chciała się oczywiście zgodzić, więc pan, oni mają swoje przepisy. Jak facet zraniał kogoś, to musi siedzieć. I słusznie — ale mnie chodziło o dzieci. Te dzieci w końcu zwyciężyły. S. został zwolniony, zapowiedziano mu tylko, że jeśli to się jeszcze raz powtórzy, to już zgnie w kłminalce.

Nigdy by pan nie uwierzył, jak on się teraz tymi dziećmi zajął. Pleści je całuje, jeździ dla nich do miasta po słodycze. Chłop przy tym haruje i myśle nawet, że to lepsza dla niego kara niż areszt.

Tymczasem prowadziłem też pertraktacje z żoną S. błagał mnie, bym ją urosił, by wróciła do domu. Dawał mi dla niej pieniądze, ale ona początkowo nawet słyszeć o nim nie chciała, tak że musiałem je dawać w charakterze pożyczki od siebie.

W końcu jednak zgodziła się. Co miała zresztą robić. Teraz jest już w domu i wszystko jest nawet dobrze, ale czy na długo? Zobaczą pan jeśli pan znowu do nas przyjedzie na urlop”.

ANDRZEJ JAROSŁAWSKI

Zdarzenie

la próg jego domu.

Natomiast mnie pan Franek zaprosił do siebie już pierwszego wieczoru. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że pokój tego zatwardziałego kawalera był wytapetowany dziećmi „pin up girls”, wyciętymi z tygodników ilustrowanych.

— Taką przięta do ściany to już niegroźna — tłumaczył mi.

Opowiadał mi o ludziach w N. wiele ciekawych anegdot. Od niego dopiero się dowiedziałem dlaczego gospodarz, u którego mieszkałem, osiedlił się w N. Zastanawiałem się nawet, dlaczego ten dobry rybak, jeden z najlepszych w N., porzucił kwitnącą gospodarkę nad Martwa Wisła i przyjechał tu, na odludzie...

Nie przeczuwałem żadnej tajemniczej historii, gdyż S. należał do „normalnych” u „normalnych” rybaków. Nie żaden tam inteligent wypełniony żalami do świata weltschmerzem, o — prosty, wesóły chłop po czterdziestce, ale trzymający się jeszcze krzeczko.

Miał młodą żonę i pięcioro

ja o przebaczenie, przeproszała, raz już nawet przysięgała w kościele, że to nigdy więcej się nie powtórzy.

Tam nad Martwa Wisłą zawinił po trochu jego koleczy. Gdy byli w łodzi, na morzu, co dowcipniejsi podświćli jeszcze jego wyobraźnię.

— Pan, panie S. lowisz tu wesorzyki, ale pomyśl pan tylko co tam w domu robi pańska żona...

I dlatego chyba S. przyjechał tutaj. Jedynym kawalerem w N. jestem ja, a jak pan wie, mam kobiety gdzieś...

Tyle mi opowiedział o moim gospodarzu pan Franek. Zapomniał dodać tylko o jednym drobiazgu, a ten właśnie drobiazgu miał się niebawem okazać fatalny w skutkach.

2.

Mój gospodarz S. miał — jak to się mówi — u mnie „litra”. I prawdę mówiąc — słusznie.

Kiedy przyjechałem do N. w żaden sposób nie mogłem nigdzie wynajść pokoju. Nikt mnie nie chciał przyjąć.

mna pomówić. Wyszedłem więc z nim na dwór i wtedy mi powiedział:

— Co pan robi, na miłość boską! Dlaczego mu pan daje wódkę, przecież jemu nie wolno pić. Zobaczy pan co teraz będzie...



Wróciłem do S. i zacząłem mu się podejrzliwie przyglądać. Ale on był zupełnie normalny, wesóły i w niczym nie przypominał pijanego.

Gdy zaproponowałem, żeby to, co zostało w butelce zostawić na później, zgodził się bez słowa.

I wtedy weszła do pokoju jego żona.

Obserwacje — 59

Kolorowa ofensywa



Rzum, nowe dzielnice

Wszyscy, którzy choć trochę podróżowali wiedzą, że każdy kraj ma swój własny kolor. Kiedy wyjeżdża się do obcego kraju napotyka się nie tylko obcy język, obce obyczaje, obce tradycje i obca kultura, lecz także i obcy kolor. Zdawałoby się, że przecież każdy, kto nie jest daltonistą, zna paletę barw — a jednak kolor nowego kraju zaskakuje, jakby się tę barwę widziało po raz pierwszy. Wynika to stąd, że występuje on w tych miejscach, gdzie u nas występują inne barwy, że spotyka się go tam, gdzie przywykliśmy widzieć zupełnie inną tonację, wreszcie dlatego, że nasycenie barwą jest inne, że ów kolor podmalowuje całe otoczenie. To nie jest urojenie: tak jest rzeczywiście. Bułgaria jest w tonacji brązowo-zakalcowej (trzeba oczywiście przejechać ją wzdłuż i w szerz, aby sobie wreszcie taki obraz kolorystyczny wyrobić). Belgia jest koloru czerni węglowej i ciemnej, czerwonej cegły palonej. Kraje arabskie są piaskowo-żółte, Niemcy są intensyw-

JERZY WALEŃCZYK
**CZY PISARZ
 POWINIEN
 MIEĆ BZIKA?**

Poglądy na osobowość pisarza, jak poglądy na wszystkie ludzkie sprawy ulegają ciągłym fluktuacjom, zmianom, wahaniom, modyfikacjom, i kto tam wie jeszcze czemu. Zastanawiano się nad proporcjami zdrowia i choroby, których nosicielem miał być piszący. Nieraz mówiono o psychopatycznych skłonnościach pisarzy, mając na myśli częste zmiany nastrojów, nieobliczalność postępowania, nierówność charakteru i różne zakłócenia psychiczne. Mówiono nie bez podstaw.

Krytyk, pisarz, tłumacz dwudziestolecia międzywojennego Stefan Napierski pisał, że poeta to człowiek, który nie potrafi nic innego robić jak tylko pisać poezję i do niczego innego się nie nadaje. Oczywiście był to idealistyczny pogląd i kiedy przymierzmy go do czynów i możliwości współczesnego pisarza, mimo woli wypadają nam się uśmiechnąć.

Fama est, czyli istnieje powszechne mniemanie, że pisarz, literat, na ogół ma bzik, albo wszelkie dane, aby wcześniej czy później znaleźć się w sanatorium dla umysłowo chorych. A z drugiej strony mówi się o „inżynierach dusz”.

Franciszek Villon dostarcza wiele materiałów do rozważań nad pewnymi skłonnościami pisarzy. Markiz de Sade był wzięty w Bastylę prawdopodobnie nie bez

podstaw. Ale są to przypadki skrajne, przykłady odchyleń od normy biegłoności, skłonności wręcz kryminalne. Dosłojewski znany jest w literaturze jako epileptyk, spotykamy dane o halucynacjach Goethego, Dickensa, Shelleya.

Powszechnie wiadomo o chorobie Wyspiańskiego, a przy okazji czaszki Tetmajera okazało się, że miał on tumora mózgu, który był przyczyną jego anormalnego zachowania się w ostatnich latach życia, jego lęków i fobii. Jako haszyszysta znany jest Baudelaire. Pisarze są neurastenikami i histerykami.

A przecież wśród współczesnych spotykamy wielu pisarzy na wysokich stanowiskach społecznych i państwowych. Pisarz współczesny jakby stracił aureolę romantyczności - psychopatycznych skłonności. Saint John Perse jest dyplomatem T. S. Eliot — dyrektorem wielkiej firmy wydawniczej Faber and Faber w Londynie. A więc funkcje wymagające zdrowego rozsądku, równowagi, odporności psychicznej.

Pisarze są dzisiaj dyplomatai, redaktorami, wydawcami, współpracownikami pism, kierownikami literackimi teatrów i najczęściej związani są, zwłaszcza w Polsce, z machiną publicystyczno-literacką. Stają się profesjonalistami,

Ma to różny skutek. Najczęściej nie najłepzy. Dlatego karierę zrobił pisarz — szofer. Powieści i opowiadania młodej generacji w Polsce są najczęściej wyprane z realiów zawodów autentycznych. Coraz trudniej jest o treści autentyczne, życiowe. Coraz częściej spotykamy się ze zjawiskiem „koncepcyjności” stanów, sytuacji. Oczywiście nie jest to kryterium wartościujące.

Literat współczesny jest najczęściej życiowo zrównoważony, zdrowy, normalny, dobrze się urządza, nie zna lęku, trwogi, nie podejrzewamy go o psychopatię. Powiedzmy wprost. Można z powodzeniem mówić o pewnej dewaluacji w pozycji literata. Z różnorodnych względów. A najczęściej z racji nadmiernej zaradności życiowej.

Nie chodzi tu o pewien typ tej zaradności, którego doskonałym przykładem może być Słowacki grający w pewnym okresie z powodzeniem na giełdzie. Słowacki, który również dzięki rentom i odszkodowaniom pani Becu, swojej matki, prawie całe życie „nie pracuje” w potocznym tego słowa znaczeniu.

Anachroniczny jest pogląd, jakoby poeta rodził wiersze tak jak drzewo rodzi owoce. Ba, anachronizm i śmieszny. Problemem niewyjaśnionym też dotąd jest sprawa czy poetą się jest czy poetą się bywa. Norwid, a za nim Jan Koprowski, sądzą że poetą się bywa. Dobrze, ale pozwólcie panowie, że zapytam czym powinno się być w międzyczasie? To jest dość istotne pytanie.

Wydał mi się, że pisarz nie powinien być groszorem. Uganianie się za groszem kompromituje go i dewaluje w oczach publiczności. Załozny jest widok literata, który obsługuje wszystkie świetlice w mieście i województwie, który będzie mówił na każdy temat, o którym ma pojęcie lub go nie ma, który obsługuje wszystkie instytucje i lokale zbiorowych konsumpcji. Nie znaczy to, abym twierdził, że literat musi być „chudy”, tradycyjnie i konsekwentnie. Niepokojąca jest tylko czasem skala jego użyteczności i przydatności ad usum delphini.

Moim skromnym zdaniem cwaniactwo gubi ludzi utalentowanych pisarsko. Cwaniakiem w literaturze nazywam tego, który korzystając ze swoich umiejętności pisarskich i określonych dyspozycji psychicznych robi na tym interesy, traktuje swój talent jak towar do sprzedania, kupczy nim jak sklepikarz detaliczny.

Kłeska pisarza jest najczęściej kłeską człowieka. Piśmiarstwo służy ludziom, powinno im służyć, ale pisarz jest zawsze samotny. W sensie izolacji psychicznej, w sensie autonomii wyobraźni. Nie fizycznie i biologicznie. A jednak trzeba być blisko ludzi, żeby móc skonstruować świat swoich wartości. Trzeba być blisko, ale niezbyt blisko, aby nie stracić kredytu zaufania jakiego udziela społeczeństwo.

Opowiadał mi kiedyś słuchacz wieczorów autorskich o pewnym poecie, który zapytany dlaczego pisze teraz inaczej niż dawniej odpowiedział, że istotnie pisze inaczej, ale dlatego, żeby się zrehabilitować. Różne są formy rehabilitacji. Rehabilitacja przed czytelnikiem jest rzeczą piękną. Ale ten fenomen słuchacz ów potraktował jako objaw cwaniactwa. I tak potraktowali go inni słuchacze.

Pisarz może mieć bzik, albo go nie mieć. Może być zdrowy lub chory. Na pewno może nieść ze sobą swój багаż zamięlności, dziwactw i urojeń. One pomagają mu w pracy, one stanowią walny wkład do jego wyobraźni, są z nią powiązane. A przecież wyobraźnia to narzędzie pracy pisarza.

Nie powinien być cwaniakiem jeżeli swoje rzemiosło traktuje serio. Jeżeli znajomość i umiejętność chwytów taktyczno-strategiczno-finansowych przewyższa znacznie umiejętność i znajomość chwytów artystyczno-formalnych u człowieka pióra „że się dzieje w państwie duńskim”. A coż mówić dopiero, jeśli najpotężniejszym organem „czującym” pisarza jest nos.

Nosologia i cwaniactwo to niewątpliwie cenne dary, które należy szanować. Ale nie tu. Ale nie tu.

BERNARD SZTAJNERT

Matka Ziemia — najstarsza, najmądrzejsza z bogów.
 Wola do mnie przez drzewa: zostań, zostań sobą!
 Omijają mnie wiatry i obłoki łatwe,
 Bylbym kiepskim aktorem. Świat jest złym teatrem.
 Mali bogowie wierszy oczekują w rzedzie
 Na sylabę modlitwy, której już nie będzie;
 Na pragnienie poranku oczekują nocą.
 Dzień nastąpi po nocy. Bylbym złym prorokiem,
 Gdybym światło przewidział, które znamy wszyscy,
 Urodzeni na ziemi, żywi szumem liści.

grudzień 1959 r.



Kain

Gdy Bóg Kaina zawołał zawieszony w chmurze,
 Kain odkrzyknął do góry, wzrokiem błaznąc w niebie:
 „Ty o brata mnic pytasz? Ja nie widzę Ciebie,
 Znam kamienie na ziemi i obłoki w górze,
 Żeby węża poznałem i pazury żbika,
 Twe pioruny przed domem kruszyły gór ściany,
 Alem Ciebie nje widział, mój Boże nieznany,
 Co mnie wolisz z wysoka, a twarzą unikasz.
 Wiec odpowiem Ci z dołu: wolisz mnie daremnie
 Pragnąc do mnie powrócić, bo wyszedłeś ze mnie”.

wrzesień 1959 r.



TADEUSZ GIGIER

Liryki łódzkie

**W dawnej osadzie
 Prądków**

Liście wyżęte z zieleni, liście woskowane,
 dzwoniące w szarym wietrze jak dzwonił blaszana,
 liście debu — kobiece pomarszczone dłonie
 skręcające przędzę, od przędzy skręcone.

Trzy gazowe latarnie stoją wzdłuż ulicy,
 trzech osady drewnianej żelazni strażnicy,
 został z niej płot latany, gwóźdź fałsetem skrzypli,
 na Brzozowej dwie brzozy, na Sosnowej — lipy

Ciemną parzą czerwienią mury fabryk starych,
 rozpalone, świszczące strumieniami pary,
 huk, huk rośnie do miejsca, w którym słuch już
 gołów
 uwierzyć, że to tylko echo kołowroteków.

Na Karolewie

Zółty rumianek, rudy nasyp,
 podkłady wiekiem porzewiałe.
 Powoli brnie przez żwiru zasy
 małą uliczką — życie małe.

W brzozowym lasku za stadionem
 tkacz jeszcze młody na pniu siadł
 i trwa tak lekko pochylony,
 jak w progu chaty jego dziad.

Twarz mu na krótko się ożywia,
 gdy pociąg huczy jednostajnie.
 Wtedy przepływa i odpływa
 przed jego wzrokiem obraz tkalni.



Baletnica

Bruk jest areną baletnicy.
 Wstępuje pewnie nań z chodnika,
 lekko jak liny go dotyka,
 jej parasolem — dno spódnicy.

Groźnie się gną obcasy modne,
 lecz nie drgnie twarz, nie zdejmie maski.
 Już kończy popis, a przechodnie
 przystają, błją jej oklaski.

**KAZIMIERZ
 OZIEWANOWSKI**

nie zielone, a wśród tej zieleni panują barwy reklamowych prospektów: kolorowe domy, kolorowe samochody, kolorowe stacje benzynowe, mnóstwo barwnych kwiatów.

A Polska? Polska była przez wiele lat brudnoszarocęglasta. Ten kolor dominował niepodzielnie. Spostreżęto się go natychmiast po przekroczeniu granicy. Stare tynki od dawna nie remontowanych domów; nowe domy straszące pozbawioną tynków, krzyczącą czerwienią cegieł, która po paru sezonach przemieniała się w barwę brudnego bandaża; szare, obskrobane płoty; chałupy malowane ostatni raz przed wojną; straszliwie okopcone budynki stacyjne — tak to do niedawna wyglądało. Jeśli malowano ławki w parkach — to tylko na szaro. Ciężarówkami były wyłącznie szare, lub zielone. Ubrania były szare, brązowe lub granatowe. Kioski z papierosami — szare, stacje benzynowe — szare, wystawy sklepowe szare od kurzu, nawet w malarstwie przeważała szarość, brąz lub czern.

I nagle wszystko zaczęło się zmieniać. Kraj powszechnego szarego daltonizmu zaczął się nagle rumienić. Dziś podróżując przez Polskę podróżnik co krok natyka się na żywe, gorące kolory w miejscach, gdzie szarość wydawała się już nieodłączną cechą narodową. Nagle okazało się, że ławki w parkach mogą być malowane na najbardziej fantazyjne kolory i że parki wyglądają przez to znacznie weselej i ładniej. Pojawiają się kolorowe tynki. Coraz więcej kwiatów w miastach. Jeżdżą już kolorowe ciężarówkami z hasłami reklamowymi. Nowe domy są malowane na zupełnie niepoliśkie (jeśli brać pod uwagę nasze dotychczasowe przyzwyczajenia) kolory. Nawet stacje kolejowe przystrajają się w barwne piórka: kto widział na przykład stację na Wybrzeżu i na Kaszubach, temu w oczach pozostał obraz różowych, złotych, niebieskich, czerwonych budynków, parkanów, ławek i latarni, które dotąd oglądaliśmy tylko na prospektach. Przywdziały efektowną skórę stacje benzynowe. Mnożą się neony. W miejscowościach wczasowych rozkładają się barwne namioty. Wszędzie wyrastają kawiarenki malowane przez beztroskich fantastów-plastyków (tak dzieje się nie tylko w dużych miastach, ale i w wielu miasteczkach powiatowych), widać też plastyczne plamy parasoli nad kolorowymi stolikami.

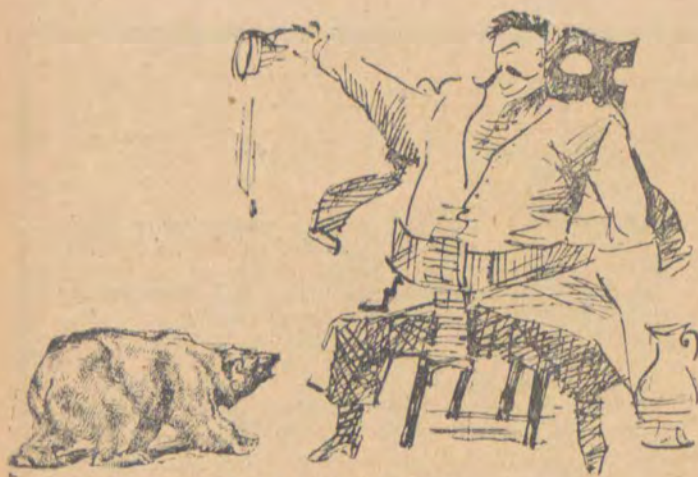
dzanie sobie mieszkań — w miarę pieniędzy i możliwości. Widać już lekkie, kolorowe meble, wzorzyste firanki, narzuty, zasłony i lampy. Gdy byłem w osiedlu fabrycznym we Dworach (przy kombinacie chemicznym) zachwyciły mnie wnętrza klubów i kawiarenek, a młodzi inżynierowie tłumaczyli mi, że urządzenie mieszkań jest jednym z ich głównych zajęć po pracy. Ich przykład oddziałuje także i na robotników, wypiera z wolna szarość, straszliwe buble mieszkaniowe „na wysokiej polsku”, fikusy i potworne kwiatki na tapetach.

Oczywiście nie wszędzie środki którymi rozporządzamy pozwoliły na pełne zwycięstwo kolorystycznej ofensywy. Trzeba na to czasu. Ale nikogo już nie dziwi ławka pomalowana tak, jakby ją przyozdabiał sam Braque czy Klee. Nikogo nie szokuje spódniczka tak intensywna w barwie, że widać ją na kilometr. Nikt nie oskarża o odchylenie zawiadowcy który pomalował latarnie swej stacji używając do tego całej palety kolorów. Oswoiłmy się z tym, że nasze życie i nasz kraj nie koniecznie muszą być szare. To wielkie zwycięstwo, którego chwałę trzeba głośno wołać.

Oczywiście nie wszędzie środki którymi rozporządzamy pozwoliły na pełne zwycięstwo kolorystycznej ofensywy. Trzeba na to czasu. Ale nikogo już nie dziwi ławka pomalowana tak, jakby ją przyozdabiał sam Braque czy Klee. Nikogo nie szokuje spódniczka tak intensywna w barwie, że widać ją na kilometr. Nikt nie oskarża o odchylenie zawiadowcy który pomalował latarnie swej stacji używając do tego całej palety kolorów. Oswoiłmy się z tym, że nasze życie i nasz kraj nie koniecznie muszą być szare. To wielkie zwycięstwo, którego chwałę trzeba głośno wołać.

Oczywiście nie wszędzie środki którymi rozporządzamy pozwoliły na pełne zwycięstwo kolorystycznej ofensywy. Trzeba na to czasu. Ale nikogo już nie dziwi ławka pomalowana tak, jakby ją przyozdabiał sam Braque czy Klee. Nikogo nie szokuje spódniczka tak intensywna w barwie, że widać ją na kilometr. Nikt nie oskarża o odchylenie zawiadowcy który pomalował latarnie swej stacji używając do tego całej palety kolorów. Oswoiłmy się z tym, że nasze życie i nasz kraj nie koniecznie muszą być szare. To wielkie zwycięstwo, którego chwałę trzeba głośno wołać.

I to też chyba świadczy,



WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Zwierzęta egzotyczne

Rzeczpospolita szlachecka była państwem pomostowym, które łączyło Zachód ze Wschodem. Tym przynajmniej w pewnym stopniu, tłumaczy się zainteresowanie, smak i gust do wszystkiego, co przywożono z ościennych krajów. Upodobanie do cudzoziemczyzny prowadziło jednak w rezultacie do przyswajania sobie przez Polskę obcych elementów z rozmaitych kultur. W siedemnastym stuleciu pogłębiły się istniejące już zresztą od dawna kontakty ze Wschodem. Pomimo albo może właśnie z powodu licznych wojen z Turcją i z Tatarami nastąpiło faktyczne zbliżenie i dokładniejsze wzajemne poznanie przez liczne poselstwa wojskowe i dyplomatyczne, wymiany i ruch handlowy z Bałkanami i Stambulem.

Dzięki zdobyczej broni, orientalnemu rzędom koniskim, odzieży, namiotom itp. rozpowszechnia się moda wschodnia i gusty wschodnie. Nie tylko jeńcy tatarscy i tureccy występują w roli służby, pajuków czy laurów na magnackich dworach, ale przebiera się też w końcu własnych chłopków pańszczyźnianych w egzotyczne wschodnie stroje i dla dopełnienia komedii nazywa się ich i woła imionami tatarskimi czy tureckimi, Abdullów czy Sefer Gazich. Oprócz przedmiotów zbytku, odzieży i broni pośredniczący w handlu zagranicznym Żydzi, Ormianie i Grecy sprowadzają do Polski wraz ze wschodnimi towarami egzotyczne zwierzęta.

Po wielbłądach, lwach i tygrysach zaczęto interesować się w Polsce nowym egzotycznym zwierzęciem — sarną.

Posel polski w Turcji w 1569 roku, Jędrzej Tarnowski, taki jej opis zostawił: „Było też na ten czas w Konstantynopolu zwierzę Sarnapa, wielkie i wysokie, które jest od stóp aż do głowy na sześć sążeń, przodu wyższego niżli zadku, sierści pstrej, żółtej i białej, głowę ma na kształt wielbłąda”.

Inny znów opis staropolski tak przedstawia sarnapę: „Wyższa wpród aniż nazad, szyja wielbłądowi, głowa sarnie podobna, sierścią lampartowita”.

Dopiero w końcu osiemnastego wieku sarnapę doczekala się swej drugiej polskiej nazwy — żyrafy.

Niejednokrotnie od sultana tureckiego lub chana tatarskiego otrzymywali nasi królowie falkie afrykańskie lub azjatyckie zwierzęta.

Od moskiewskich władców przychodzili w prezencie zwierzęta Północy. W roku 1650 posel rosyjski Puszkini przywiózł do Warszawy ku wielkiej ucieście gawiedzi dwa sobole w klatce jako dar cara Aleksieja Michajłowicza dla króla Jana Kazimierza.

Z naszej strony szły na Wschód tresowane polskie sokoly, które dobrze spełniały swe zadanie propagandowe i cieszyły się wielkim uznaniem.

Bardzo interesował się zamorskimi okazami ludzi i zwierząt Król Jan Trzeci Sobieski, który utrzymywał na swym dworze egzotyczną służbę w obozach karłów, Murzynów i Kałmuków, i z zadowoleniem przyjmował po zwycięstwie pod Wiedniem podarunki z afrykańskich papug i małp.

Warto przypomnieć, że wielki wezyr Kara Mustafa przeświadczony o przewadze tureckiej i niewątpliwym zwycięstwie nad niewiernymi przyprowadził w 1683 roku pod Wiedniem całą swą menażeryję w kłatkach-namiotach. Były tam lwy, słonie, wielbłądy, strusie, które zginęły z rąk mściwych Turków w momencie, gdy wyznawcy Allaha przekonali się, że szala zwycięstwa w bitwie

Rozmowy z plastykami

Lech Kunka

LECH KUNKA — obecnie profesor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, jest dyplomantem tej uczelni. W ostatnim roku studiów Lech Kunka uzyskał roczne stypendium rządu francuskiego na studia malarstwa i rzeźby w pracowni Fernanda Legera w Paryżu. Pierwsze lata w twórczości L. Kunki przyniosły prace, wywodzące się z kierunku kubistycznego. Następne okresy to malarstwo typu abstrakcji geometrycznej, malarstwo figuratywne i znów powrót do abstrakcji, ale typu niegeometrycznego. Dotychczasowy dorobek artysty, eksponowany był na pięćdziesięciu dwóch wystawach w kraju i za granicą. Lech Kunka jest współtwórcą scenografii filmowej do filmu opartego na powieści Lema, realizowanego w ramach kooperacji przez niemiecką wytwórnię DEFA i Film Polski.

twórcami współczesnymi, ci ostatni również dobrze mogą uprawiać impresjonizm jak i tasyzm, a niekiedy i typ sztuki nowoczesnej. Nowoczesność to właśnie poszukiwanie „języka” malarstwa naszych czasów, a na pytanie, komu się to uda, odpowie dopiero czas. Tak jak malarstwo Buffeta wywodzi się z gołku, Nowosielskiego z malarstwa bizantyjskiego, Tyszkiewiczowej z przygody malarstwa, tak źródłem moich utworów jest niepokój — naszych czasów.

— Co Pan sądzi o przyszłości sztuki nieprzedstawiającej?

— O przyszłości trudno jest mówić. Jedno jest pewne, że to, do czego dzisiaj doszliśmy, jest dopiero preludium oczekującej nas malarstwa przygody, w której zasadniczym elementem jest intuicja twórcy. Niepokój mnie jedynie brak rozmachu w tych poszukiwaniach, uważam, że sztuka nowoczesna nie powinna zasklepić się w malar-

— Z jakim kierunkiem w plastyce współczesnej czuje się Pan związany?

— Od trzech lat szukam wyrazu, którym mógłbym wypowiedzieć nasze czasy, a więc wyrazu, który oddawałby atmosferę tak wielkich wydarzeń dwudziestego wieku, jak chociażby wybuchy broni nuklearnej czy wypraw kosmicznych. Nasza epoka, tak jak każda inna, ma swój nastrój, swój klimat, który chcę wyrazić środkami malarstwa. Formę narzuca nam wszystko to, co kształtuje epokę. Jeżeli chodzi o moje powiązania ze sztuką współczesną, to niewątpliwie jestem związany z kierunkiem abstrakcyjnym typu niegeometrycznego. Proszę jednak nie łączyć twórców „nowoczesnych” z



— Jakie Pan widzi możliwości zainteresowania odbiorców sztuką nowoczesną?

— Jak już wspominałem, sztuka nowoczesna nie może



zasklepić się w malarstwie sztalugowym. Zastosowanie sztuki nowoczesnej w przemyśle, który wytwarza przedmioty codziennego użytku, pozwolił zniknąć z niej szorstkiemu ogółowi społeczeństwa i wytworzył nowy typ odbiorcy, wrażliwego na nowoczesne formy. Zresztą, zastosowanie sztuki nowoczesnej we wszystkich dziedzinach życia, przyczyni się do jej rozwoju. Wówczas sztuka stanie się udziałem wszystkich.

— W jakich warunkach Pan pracuje?

— W tym roku warunki, w

jakich pracuję, poprawiły się. Otrzymałem pracownię malarstwa, natomiast w dalszym ciągu nie mam mieszkania. Pracuję w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Ale to nie jest najistotniejsze. Uważam, że największym dramatem artysty naszych czasów jest to, że obowiązki związane z pracą artystyczną zmuszają go ciągle

do odchodzenia od jego zasadniczych zainteresowań.

— Jak się Pan czuje w Łodzi?

— Mimo moich najszlachetniejszych chęci i wielkiej sympatii do Łodzi, nie jestem nadal jej mieszkańcem. Pozwolił mi jednak, że Łódź będę nazywał naszym miastem. A więc bardzo boleje nad tym, że nasze miasto w dalszym ciągu traktowane jest jak prowincja. Chociażby taki skromny przykład — może nie jest znaczący, a jednak charakterystyczny: na ostatnim salonie warszawskim wydana katalóg, w którym zaledwie skromnymi notkami zaprezentowano łódzkich twórców, podczas gdy reprodukcje kolegów z innych miast opatrzone obszernym komentarzem. Nie chcę nikogo posądzać o złośliwość, a jednak... no cóż? Prowincja. Może to tylko rezultaty kompleksu, ale tak jak ludzie posiadają kompleksy, tak i podobne kompleksy zachowują miasta.

Kompleksy, które udzielają się jego mieszkańcom. I może stąd bierze się to jakieś, mało wyczuwalne, a jednak hermetyczne zamknięcie, w którym żyjemy, w którym brak twórczego dopingu, wreszcie w którym sprawy artystyczne ustępują miejsca wojnom personalnym.

Rozmawiał
MARIAN ZDROJEWSKI

wiedeńskiej przechyliła się na stronę sprzymierzonych armii pod dowództwem Sobieskiego

Swemu przyjacielowi księciu toszańskiemu obiecał Sobieski przystać karla, Kałmuka i kobierce z namiotu wielkiego wezyra. Książę oczekiwał z niecierpliwością podarunków i własnoręcznie napisał na marginesie otrzymanego listu: „Aspetto con grande desiderio il Calmucha”.

Ale w zainteresowaniu egzotyką przeszedł zwycięzca spod Wiednia jego następcą August Drugi Mocny. Ten wspaniały blazen na tronie kochał się we wszelkiego rodzaju dziwactwach, a więc—

zwierzętach zamorskich, niewolnikach i gwardzistach ponad dwa metry wzrostu. Z jego polecenia wyruszył do Persji Ormianin Jakub Nurkiewicz, który wykupił od szacha Nusseina i przywiózł do Polski całą kolekcję egzotycznych zwierząt (jak lamparta, lwa, tygrysa) i ptaków — a między nimi jakiegoś osobliwego fantastycznego ptaka, polykającego jakoby ogień.

Ta niewinna acz kosztowna zabawa zaczęła nam się wydawać gorszą z wprowadzeniem wymiany jako podarunków — ludzi. W Polsce dawno o niewolnictwie zapomniano, szlachta szczyła się, że jesteśmy jedynym

na świecie krajem złotej wolności i oficjalnie nikt niewolników nie posiadał, a jednak ówczesna orientalizacja życia codziennego robiła swoje — i na dworze królewskim, jak i na dworach możnowładców roilo się od Turków, Tatarów, Arabów i Kałmuków. Byli to i jeńcy wojenni, ale częściej — ludzie „podarowani” przez chana lub sultana.

Z upływem lat „niewdzięczni” poddani coraz bardziej ograniczali jednak budżety, a co za tym idzie — pomyślność swych władców i magnatów, i ze spisu podarunków wymienianych przez koronowane głowy i ich wielkorządców za granicą zniknę

ły upominki w postaci dzwicznych niewolników, a później, kiedy coraz bardziej trzeba było oszczędzać, zniknęły jako prezenty także kosztowne zwierzęta egzotyczne.



ŚLADAMI TYSIĄCLECIA

BRONISŁAW
CHĘCIŃSKI

Skarby marmurowego zamczyska

„Zbliżam się do Chęcina. Ile razy ja tu drzałem na widok tych ruin. Zdaje mi się, że cała nasza święta, zamarta Polska uosobiła się, odfotografowała w tej olbrzymiej, przerażająco pięknej ruinie...”

„Dzisiaj blogosławia cię i wielbiają poeci i historycy nad tobą zatrzymują wzrok...”

Stefan Żeromski
„Dzienniki”

Dawność i osobliwość chęcińskiego zamku, to cechy widoczne na pierwszym rzucie oka, ale nikt z dotychczasowych badaczy jego historii nie dotarł do źródeł określających bliżej czas, w którym go wzniesiono. Wiadomo, że nie budował go ani Kazimierz Wielki, ani nawet Władysław Łokietek, albowiem nim ten ostatni zdołał ugrun-

tować swe panowanie, zamek już istniał.

Mówi o tym zachowany dokument — akt nadania przez Władysława Łokietka biskupom krakowskim zamku książęcego w Chęcinach wraz z przyległymi wsiami. Nadanie to nie nabrało mocy prawnej, a to z powodu wiarołomstwa właśnie ówczesnego biskupa krakowskiego Muskaty, wicherzącego przeciw królowi Dla nas jednak w tej chwili największe znaczenie ma fakt, że dokument mówiący o zamku w Chęcinach pochodzi z roku 1306.

Zamek na marmurowym gołoborzu został wzniesiony wcześniej. Kiedy — przez kogo i przeciw komu? Oto pytania, na które odpowiedzi poszukują badacze jak skar-

Historycy twierdzą, że za-

mek był górską, potężną warownią gotycką. spełniał rolę jednego z najlepszych w państwie piastowskim, a następnie jagiellońskim, miejsc obrony, przechowania skarbow. Był także wieżem stanu *).

W roku 1318 — wg źródeł pisanych — Łokietek przeniósł tutaj skarbiec archidiecezji gnieźnieńskiej przed spodziewaną wojną z Krzyżakami. W roku 1331 odbył się tutaj zjazd szlachty, uwarżany przez niektórych za pierwszy nieoficjalny sejm polski, z udziałem Łokietka, który niebawem wyruszył stąd pod Płowce, przeciw Krzyżakom.

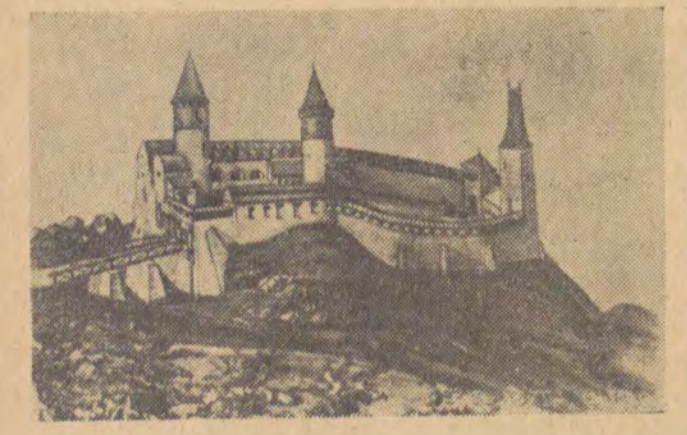
Zamek stanowił rezydencję królów. Wprawdzie źródła milczą o pobycie królowej Jadwigi w Chęcinach, wspominają natomiast o jej babce, córce Łokietka, kró-

lowej Elżbiecie, sprawującej przez jakiś czas rządy w imieniu swego syna Ludwika Węgierskiego, o Adelajdzie, żonie Kazimierza Wielkiego... o Bonie.

W środkowej baszcie, przeznaczony został przyrodni Jagielly — Jędrzej Olgerdowicz, za podburzenie Rusi (lata 1391—1402). Następnie zaś, po bitwie pod Grunwaldem, pośród znaczniejszych jeńców krzyżackich, wzięiony tu był komtur Michał Kuchmeister von Sternberg.

Przechodziła później ta warownia gotycka okresy świetności i upadku. Acz niezdołabyta, była zdobywana, niszczone i odbudowywana. Padła ofiarą: rokoszu zebrałowskiego (1607), wojsk Rakocznego (1657), drugiego najazdu szwedzkiego (1707), az

(Dalszy ciąg na str. 10)



Rekonstrukcja zamku w Chęcinach z okresu późniejszego (prawdopodobnie z wieku XVIII)

Przez porty świata • Przez porty świata • Przez porty

HUANPU — SPIEWAJĄCA RZEKA

Jest świt kiedy przekraczamy niewidzialną granicę pomiędzy Morzem Wschodnio-Chińskim, a lejkowatym ujściem potężnej Jangtse — Błękitnej Rzeki. Ale o tej porze dnia Rzeką Błękitną jest jeszcze różowa, a choć płyniemy pod prąd już dłuższy czas — wciąż jeszcze nie widać brzegów i Jangtse wciąż jeszcze jest wielkim płynącym morzem. Wreszcie mijamy niewielki port wojenny i wpływamy z kolei w koryto Huanpu, stulkilometrowej, niezbyt szerokiej ale za to bardzo głębokiej rzeczki. Tu dopiero, nad tą niewielką rzeką wyrósł Szanghaj — potężny port,

Polski uczył mnie po prostu Polacy w Charbinie, skąd pochodzę. Z wieloma bardzo się przyjaźniłem. Ale do rzeczy — mój rozmówca jak wszyscy Chińczycy nie lubi dużo mówić o sobie. — Patrz pan, w Szanghaju prawie nie ma zieleni. O, raz, dwa, trzy, cztery parki i trochę skwerów na całe miasto. A czy pan uwierzy, że tylko w tym roku zasadziliśmy w Szanghaju milion drzewek? Wcale ich nie widać, prawda? Giną w tak wielkim mieście. Na południowych krańcach tzw. „chińskiego miasta“ widzi pan nowe osiedle mieszkaniowe. Tu była kiedyś najniebezpieczniejsza dzielnica. Szalasy stały wprost nad smrodliwymi, szerzącymi za-

było już bardzo dawno — 400 lat temu. Syn, wysoki urzędnik służył w Pekinie, w cudownym cesarskim pałacu, ale jego matka знаła pałac tylko z opowieści: nieuprzywilejowanym nie wolno było bezkarnie przekroczyć cesarskiego progu. Wiele lat marzyła matka o pałacu jak z bajki, aż wreszcie syn wybudował dla niej w rodzinnym Szanghaju jego miniaturę — pawilony i altanki o wzniesionych ku niebu skrzydłach złotych dachów, sztuczne góry i sadzawki, tajemne przejścia i kwadratowe słoneczne podwórka. A nad tym wszystkim królował groźny kamienny smok — cesarski symbol potęgi i władzy.

zwykle kobiety — pokłócili się właśnie nad balią.

Są uliczki tak wąskie, że nie dotrze tu nawet riksha. Tu rozłożyły się warsztaty rzemieślnicze, uliczne garncuchrze i stragany pełne smakolepków. Monotonny śpiew matki, usypiającej niemowlę łączy się z nawoływaniem kucharza i kuglarza z fletem — opowiada o bajkach. Uliczka pachnie mandarynkami i suszoną rybą, drzewem sandałowym i krabami.

Na małym podwórku rozłożyła się staromiejska baracholka. Można tu kupić stary srebrny kindżał i drewnianą kupiecką dra-paczkę do płóców z liczydłkami. Klatkę na świerszcze (to taki prototyp „Szarotki“, nosi się w ręku lub za pazuchą i słucha), kunsztowne nefrytowe szpilki do włosów, stare pierścionki z laki. Są tu maski operowe, pięknie wyplatane kolorowe maty i koszyki i całe szeregi posażków Buddy.

Kiedy oderwałem się wreszcie od tych wszystkich cudów, stare miasto pożałowało mnie chórem kanarków. To w herbaciarni na pięćterku wyznaczyli sobie spotkanie staromiejscy ptasznicy.

TOWARZYSZ EX-KAPITALISTA

Dzięki uprzejmości miejscowych dziennikarzy spotkałem się wreszcie z panem Tun Su In. Tun Su In nosi europejski garnitur i zegarek na złotej dewizce. Robotnicy fabryki naczyni fajansowych mówią o nim

bryk, natychmiastową produkcję i fachowe kierownictwo, co przy powszechnym braku fachowców miało również swoje wielkie znaczenie. Fabryki prywatne wykonywały więc państwowy plan, miały zapewniony przez państwo zbyty i surowiec, a robotnicy otrzymywali takie samo jak w fabrykach państwowych wynagrodzenie i korzystali z tych samych świadczeń socjalnych. W lecie 54 roku fabryki prywatne zostały przekształcone w zakłady państwowo-prywatne. Byli właściciele pozostali więc nadal w swej fabryce na stanowisku dyrektora, a do pomocy dodano mu dyrektora „państwowego“. Jednocześnie obliczono wartość fabryki i dziś, poza pensją dawnego właściciela otrzymuje jeszcze rocznie 5% od tej sumy. Tun Su In otrzymuje więc rocznie zawrotną sumę 35 tys. juanów (przeciętna pensja robotnika wynosi 50—60 juanów miesięcznie), a ponadto jego pensja miesięczna wynosi 500 j., podczas gdy dyrektor państwowy otrzymuje 107 j. miesięcznie. „Jest świetnym fachowcem — mówi o Tun Su In robotnicy, — zna tu każdy piec i każdą maszynę. Stale coś ulepsza, często za własne pieniądze i produkcja fabryki nieustannie rośnie“.

Tun Su In, jak każdy Chińczyk pracuje bardzo ciężko, jak każdy Chińczyk nie ma urlopu. Żyje wraz z rodziną bardzo dobrze, a za pozostałe pieniądze kupuje obligacje pożyczki państwowej, część oddaje do banku na niewielki procent, buduje przy fabryce żłobki i przedszkola. Jest członkiem zarządu szanghajskiej federacji handlowców i przemysłowców, jest też delegatem miejskiej rady narodowej.

kości, wszyscy schodzili mu z drogi. To on sam szkolił wróżbitów, największą i najbardziej dochodową atrakcją swego przedsiębiorstwa. Wróżbity umieli powiedzieć ludziom wszystko: ich przeszłość i przyszłość, ich kłopoty i troski, a za niewielką dopłatą potrafili pouczyć nawet, co należy czynić, aby stać się bogatym. W małych przytulnych salkach dla lepszych gości palilo się opium... Wan Czu Dzio osobiście oglądał zakupiony towar — nieletnie dziewczynki sprzedane przez głodujących rodziców.

Taa-sz-cje — Wielki Świat to dziś potężny „kombinat kulturalny“. Na 12 scenach gmachu — labiryntu występuje 16 zespołów operowych, cyrkowych i teatralnych. Sale kinowe, bazarze, pianiniarze, szachy i 12 fenomenalnych akrobatów na jednym rowerze. Obok klasycznej wielogodzinnej opery, krótkie spektakle teatryku cieni, znakomity teatr kukielkowy, 500 artystów zatrudnia Wielki Świat. Bilet wstępu kosztuje tyle, co gazeta lub pudełko zapalek. Taki bilet upoważnia do pozostania w gmachu przez cały wieczór i odwiedzenia wszystkich scen po kolei.

Wielki Świat odwiedza codziennie 15 tysięcy osób. W dni wolne od pracy — 20 tysięcy.

Wychodzimy na Nankin-lu już późną nocą. Ludzie wracają z opery, z kina, w nocnych sklepach robią ostatnie zakupy. Kolorowe neony odprowadzają nas do bulwaru nad Huanpu.

Jutro opuścimy Szanghaj. Miasto znane kiedyś w świecie jako stolica opium, hazardu i domów publicznych. Miasto, któremu ton nadszali ogień zagranicznej kapitalistycznej i handlowej we-



Szanghajska eleganka w przepisowej maseczce od kurzu

siedmiomilionowe, czwarte co do wielkości miasto świata.

Huanpu wita nas śpiewem. To rybacy przygarbieni u wiosel swych dzonek ciągną nie kończącą się pieśń. Z minuty na minutę pieśń staje się potężniejsza, z minuty na minutę przybywa dzonek. Na rzece robi się tłok. I oto nagle spoza tych pradawnych, dziwnie powyginałych łodzi, spoza postrzępionej pstrokacizny żagli wyłania się miasto: miniatura nowojorskiego Manhatanu, ciężkie sylwetki wieżowców — banków, hoteli, agencje domów gry, brzydkie ale potężne. Tu załatwiano największe interesy Dalekiego Wschodu, tu obliczano płynące do Europy milionowe zyski. To reprezentacyjny bulwar nad Huanpu, dawny teren koncesji angielskiej i francuskiej. Fasada miasta. Gdzieś z tyłu skrył się prawdziwy Szanghaj.

KIM PAN JESTEŚ, PANOCZKU?

W messie jest nieco ciemno, a pan, który podszedł do mnie nosi europejski szary płaszcz, głęboko wciśnięty na oczy kapelusza i mówi najczystszy wilońskim akcentem. — Pan pozwól, że się przedstawię — mówię dyplomatycznie. — Tao Je Han jestem — odpowiada nieznanomy. — Pracuję w takim chińskim „Orbisie“, wie pan? Jau Tol, może pan mówić. Ale chodźmy już, panoczku, szkoda czasu.

Tao Je Han zabiera mnie przede wszystkim na dach siedemnastopiętrowego hotelu „Szanghaj“. Ale nawet stąd nie widać krańców tego stłoczonego ponad wszelkie pojęcie miasta. Na wschodzie — stare miasto, na zachodzie, daleko na horyzoncie budująca się dopiero wielka dzielnica przemysłowa. — Coś jak wasza Wola w Wa szawie — wyjaśnia Tao Je Han. — A tu, za rzeką, to tak jak wasza Praga. — Pan dawno był w Warszawie? — pytam. — Nie, nie byłem nigdy w życiu — śmieje się Tao Je Han. — Polskiego i

TEKST I ZDJĘCIA
WIESŁAW GÓRECKI

P O R T

bez

dziewczynek

razę kanałami. W ciągu trzech lat zasypaliśmy w Szanghaju 300 kilometrów takich kanałów.

Schodzimy na dół, z bulwaru skręcamy w reprezentacyjną handlową ulicę Nankin-lu. Szanghaj — to stolica lekkiego przemysłu Chin. Na wystawach cudowne jedwabie, setki par przesłicznych kolorowych pantofli (raj dla kobiet — nie ma chyba dwu par jednakowych), tradycyjne wyroby rzemiosła artystycznego.

Na Placu Zabaw Ludowych może się pomieścić 600 tysięcy osób. Plac leży na terenie dawnej koncesji angielskiej. Kiedyś były tu wysięgi konne. — W 1860 roku — opowiada Tao Je Han — pewien Anglik nazwiskiem Hoes objechał konno położoną tu wieś. Ślad wyznaczył granicę. Chłopów wysiedlono, chaty, ba, nawet Chińczyków jest najgorsza obelga, zrównano z ziemią i tak powstał ten wysięgowy. Aż do 1927 roku była tu tabliczka głosząca, że „psom i Chińczykom wstęp jest wzbroniony“.

No ale na dziś dosyć. Pora wracać na statek. Jutro — stare miasto.

ULICA PACHNIE JAK MANDARYNKA

Był kiedyś syn, który bardzo kochał swą matkę. To

Na nie się zdała jednak miłość synowska. Okrutny cesarz kazał stracić śmiatka, który poważył się z nim równać i jego starą matkę. Ale pałac pozostał. I dziś, jak 400 lat temu zdobi szanghajskie stare miasto.

Stare miasto leży „na tyłach“, za wieżowcową fasadą. Starych zabytkowych budowli jest tu zresztą nie wiele — Szanghaj nie należy do chińskich miast — zabytków. Stare miasto, to po prostu nieco starsza i nieco lepsza, bogatsza część dawnego chińskiego sektora.

Uliczki są więc kolorowe i choć równie hałaśliwe jak wielkomiejska Nankin-lu, mają swój własny zupełnie inny głos. Nawet fryzjer uliczny ma tu swój sygnał — własną piosenkę, dzwoneczek, melodię. Wędrowni rzemieślnicy ogłaszają swe przybycie na bębenu lub piszczałce, a cały ich warsztat mieści się w przerysowanych przez ramię bambusowych koszykach na bambusowym drążku. Kolorowe gromadki dzieci z piśkiem rzucają się na sprzedawcę trzcinny cukrowej, głośno i śpiewnie zachwalającego swój towar. Ze Świątyni Obrońców Miasta dochodzi zapach wonnych trocizek i odgłosy klótni. To mieszkanki świątyni — nie boginie, rzecz jasna, lecz



Ludzie i bogowie w staromiejskiej świątyni nie przeszkadzają sobie nawzajem

„Tun Su In tundze“, czyli „towarzysz Tun Su In“, lub wprost „towarzysz ex-kapitalista“.

Gdyby nie Tun Su In myślałbym, że Chińczycy w ogóle się nie denerwują. Ale Tun Su In zdenerwował się: no bo dlaczego ja się dziwię, że on się cieszy, że jego dzieci mają teraz mniej pieniędzy? Przecież dawniej, kiedy on był jeszcze wyżytkowaczem i jego świadomość polityczna była niska — jego dzieciom groziły takie niebezpieczeństwa jak opium, hazard, złe kobiety...

Zostawmy tę całą zbyt skomplikowaną filozofię... W Chinach, po proklamowaniu Chińskiej Republiki Ludowej wiele małych, a nawet średnich przedsiębiorstw zostało nadal w rękach prywatnych właścicieli. Zagwarantowało to Chinom natychmiastowe uruchomienie tysięcy fa-

W roku 1963 wszystkie zakłady państwowo-prywatne przejdą całkowicie w ręce państwa, byli właściciele przestaną pobierać procent i przejdą na normalną państwową pensję. „Do tego czasu moja świadomość polityczna pozwoli mi uznać moją nową sytuację za najszczęśliwszą“ — mówi mi na pożegnanie Tun Su In.

WIELKIM CZARY W WIELKIM ŚWIECIE

Kiedy zapada zmrok w Wielkim Świecie rozlegają się pierwsze tony muzyki. 500 złodziei i 500 prostytutek dziennie odwiedzało kiedyś Wielki Świat. Za prawo buszowania po tym przedsiębiorstwie jego właściciel pobierał od nich niewielki haracz. Tak, Wan Czu Dzio był jednym z najbogatszych ludzi w Szanghaju. Kiedy pojawiał się ze swym długim siwym warkoczem i bambusową laską, wysoki i

spół z miejscowymi złodziejami, gangsterami i dostawcami narkotyków. Mekska drobnych i wielkich oszustów Dalekiego Wschodu.

Tu nie ma ścisłej granicy między portem a miastem. Mniejsze statki wpływają nieomal do śródmieścia i cumują tuż przy bulwarze. Ale marynarze całego świata niewielki dziś mają wpływ na oblicze miasta. Nie znajdują już tu ani słynnych domów publicznych, ani portowych barów z mrozącym krew w żyłach opowieści.

Przy bankowym bulwarze mieści się luksusowy Dom Marynarza. Wstąpimy tu jeszcze, aby pożegnać Szanghaj, wielki port — wielkie centrum handlu zagranicznego Chin. Miasto bajkowych oper i jedwabnych parasolek, miasto nowych osiedli i rodzącego się ciężkiego przemysłu.

Pewien znajomy inżynier powiedział mi: Każdego, kto ma więcej niż troje dzieci, należy sterylizować...

Inżynier był trochę zdenerwowany trwającą na ten temat dyskusją, która przypomina nieco kwadraturę koła, stąd zapewne taka absurdalna propozycja. Nawiasem mówiąc, inżynier miał także troje dzieci. Fakt faktem, że nie tylko opinie laików, ale i fachowców są bardzo podzielone, pełne sprzeczności. Ale nade wszystko reporterowi idącemu tropem, jak to się tańcnie mówi, „problemu świadomego macierzyństwa” rzuca się w oczy bezradność i brak zwartej, skutecznej koncepcji rozwiązania problemu. Będąc największym nawet optymistą nie sposób nie zauważyć naszego potwornego w tych sprawach zacofania.

Fakty dowodnie świadczą, że sprawa nadmiernego przyrostu naturalnego ma i w najbliższych latach mieć będzie bardzo duży wpływ na kształtowanie się poziomu naszego życia i kultury społeczeństwa. Mimo podejmowanych dotąd wysiłków przyrost ten udało się dotychczas ograniczyć w minimalnym, nie mającym praktycznego znaczenia stopniu.

W praktyce sprawa regulacji urodzin rozważana i rozwiązywana jest niemal wyłącznie na prośbę i w interesie poszczególnych rodzin, a więc traktowana jest nadal jako sprawa najzupełniej prywatna, podczas gdy problem dawno wykraczał poza ramy spraw prywatnych.

Czas więc zgodzić się, że nadmierny przyrost ludności należy uznać za groźną chorobę społeczną. Uznanie tego faktu musi z kolei pociągnąć za sobą praktyczne posunięcia, które dadzą gwarancję skutecznego regulowania wzrostu ludności. Jest to oczywiście w równej mierze sprawa polityków, ekonomistów, naukowców, no i rzecz jasna lekarzy. Lekarze mają zresztą w tych sprawach rolę szczególnie ważną i trudną.

Co sądzi o zagadnieniu sami lekarze? Jakże są ich opinie i poglądy? Z pytaniem tym zwróciłam się do grupy lekarzy z II Kliniki Położnictwa i Chorób Kobietych. AM oraz szpitala przy ul. Przyrodniczej w Łodzi. Postaram się przedstawić ich poglądy, które jak sądzę, powinny zainteresować Czytelników.

POTRZEBNE SA LEPSZE ŚRODKI ANTYKONCEPCYJNE

— Czy powinniśmy ograniczać liczbę urodzin? Przyznam się, że sam bardzo lubię dzieci i nawet żałuję, że nie mam ich więcej — mówi kierownik kliniki prof. dr STANISŁAW KRZYSZTOPIŃSKI. No cóż, była wojna, okupacja...

— Ale patrząc na całą sprawę, jako na określone zjawisko społeczne, musimy się zgodzić, że liczbę urodzin należy ograniczać. To jest wreszta moim zdaniem konieczne tylko do pewnego czasu. Jestem przekonany, że być może już za kilkadziesiąt lat sprawa planowania rodziny stanie się znówu jak najbardziej prywatną sprawą każdego człowieka. Zniknie natomiast społeczny problem przeludnienia. Istniejący dziś na całym świecie. Na czym opieram swe przekonanie? Nauka i technika kryją w sobie nieograniczone możliwości, a przyroda nieograniczone skarby. Mwał ludzka idzie tak szybko naprzód, że z całą pewnością nadejdzie moment, kiedy np. problem wyżywienia mieszkańców naszej planety przestanie w ogóle istnieć.



JOANNA HAREWICZ

ZDANIEM LEKARZY

Tymczasem jednak, skoro przyrost naturalny trzeba ograniczać, my lekarze powinniśmy dążyć, aby odbywało się to w sposób „bezkrwawy”. Jak dotąd gros konsekwencji w zakresie regulacji urodzin ponosi kobieta. To kobietę kładziemy na stół operacyjny. Czy może być mowa o przerywaniu tego cieżaru, na męczyzynie w sensie np. spowodowania jego niepłodności? Któż by się na to zgodził? Skoro więc odrzucamy taką ewentualność, a zarazem zgadzamy się, że zabieg przerywania ciąży jest w każdym razie bolesnym i ciężkim przeżyciem dla kobiety oraz, że sprawa regulacji urodzin należy w jednakowym stopniu obarczyć męczyznę i kobietę — możemy już mówić tylko o zapobieganiu ciąży. Tymczasem wiadomo, że wciąż jeszcze jesteśmy pod tym względem zacofanym społeczeństwem.

Co można zrobić poza stałą akcją uświadamiającą, prowadzoną zarówno przez specjalnie powołane do tego placówki, jak i w zakładach pracy, wyższych uczelniach, szkołach?

Wydaje mi się, że należałoby ogłosić konkurs z wysoka nagrodą państwową na opracowanie „supersrodka antykoncepcyjnego”. Obojętne w tej chwili czy będzie to środek chemiczny czy mechaniczny, stosowany przez męczyznę czy przez kobiety. Taki środek powinien być wygodniejszy w użyciu i dawać większą gwarancję niż produkowane obecnie, no i oczywiście tani. Można by także zadanie postawić przed jakąś placówką naukową. Ale wydaje się, że konkurs byłby najlepszy. Na pewno zrodziłoby się wiele pomysłów, można by je potem dyskutować i ulepszać.

Już w starożytności istniały sposoby, które zastosowane z odpowiednią techniką mogłyby przynieść dobre rezultaty. Sądzę, że konkurs zmobilizowałby po prostu wielu lekarzy praktyków,

którzy mają przecież bogate doświadczenia i którzy na pewno rozmyślają nad tymi sprawami.

PRZERYWANIE CIĄŻY TO OSTATECZNOŚĆ

— Dla mnie jedno nie ulega wątpliwości — mówi dyrektor szpitala dr med. JÓZEF FIDLER o sprawach, z którymi z racji zajmowanego stanowiska styka się najczęściej — zabieg przerywania ciąży musi być traktowany jako ostateczność. Oczywiście długo jeszcze zabieg ten będziemy stosowali, ale w gruncie rzeczy nie powinien on mieć nic wspólnego z ograniczaniem przyrostu naturalnego. Nie można ograniczając przyrost tolerować jednocześnie masowej produkcji kalek. Użyłem tu celowo mocnych słów, chciałbym, aby dotarli one przede wszystkim do męczyzn, którzy często nie zdają sobie sprawy, czym jest zabieg.

Oto dane z naszego szpitala. 1/4 pacjentek poddających się zabiegowi przechodzi różne drobne powikłania bezpośrednio po zabiegu, a 1/5 przechodzi powikłania w okresie późniejszym.

Najwięcej serce nas boli, kiedy do zabiegu zgłaszają się pacjentki z pierwszą ciążą. Tu konsekwencje mogą być najpoważniejsze, aż do bezpłodności włącznie.

Co gorsze, wciąż jeszcze zdarzają się wypadki, kiedy przerywa do nas kobiety w ciężkim stanie na skutek różnych zbrodniczych praktyk, jak np. wstrzykiwanie mydła do macicy. Na marginesie się wspomnę, że warto by wreszcie urządzić najwykleszą obławę na tak zwane „babki”, prowadzące te właśnie praktyki.

Można by dyskutować formy i metody propagandy zapobiegania oraz pracy nad udoskonaleniem środków antykoncepcyjnych. Ale w chwili, kiedy coraz więcej rodzin stara się ograniczyć liczbę dzieci i kiedy leży to w interesie państwa, a zara-

zem kiedy obowiązuje ustawa o dopuszczalności przerywania ciąży — należy w sprawie zapobiegania bić na alarm.

WYCHOWANIE SEKSUALNE NALEŻY ZACZYNAĆ JUŻ W SZKOLE

— Wydaje mi się, że sprawy świadomego macierzyństwa i ojcostwa nie można ograniczyć do umiętnego stosowania tych czy innych środków antykoncepcyjnych — mówi starszy asystent kliniki, dr med. WŁODZIMIERZ FIJAŁKOWSKI. — Jeśli dostępność zabiegu przerywania ciąży warunkuje w tej chwili pewną bez troskę, to dzieje się tak między innymi dlatego, że brak nam do prostu kultury w stosunkach między męczyzną a kobietą. Propagande zapobiegania ciąży należy łączyć z wpaianiem w ludzi wzajemnego szacunku męczyzny i kobiety. Tego szacunku, kultury współżycia obu płci należy, moim zdaniem, zacząć uczyć człowieka bardzo wcześnie. Jeszcze w szkole podstawowej. Mam tu na myśli 6. może 7 klasę.

Miałem kiedyś pogadankę na temat świadomego macierzyństwa w jednym z domów akademickich. Próbowaliśmy ująć zagadnienie szerzej, wyjaśnić pewne procesy biologiczne, mówić także o małżeństwie, o potrzebie pełnego zrozumienia między małżonkami, o świadomym rządzeniu popędem seksualnym. Tymczasem studenci pytali mnie tylko, jaki środek antykoncepcyjny jest najpewniejszy. W parę dni później zaproszono mnie do 9 klasy jednej ze szkół. 16-letni chłopcy interesowali się nie tylko — że się tak wyrażę — techniką życia seksualnego, ale także anatomią, okresem dojrzewania — słowem mieli znacznie szersze zainteresowania niż starsi koledzy. Ten właśnie młody wiek, okres, kiedy chłopcy i dziewczęta poznają dopiero świat, należy wykorzy-

stać. Przecież dopiero człowiek, który pozna i zrozumie własny organizm, potrafi w przyszłości zdobyć się na to, co ja nazywam kulturą życia seksualnego. Wychowanie takiego człowieka należy równieź i do nas — lekarzy. Lekarz nie może przychodzić za późno, kiedy potrzebne już są narzędzia chirurgiczne. Uważam za konieczne wprowadzenie odpowiednich pogadek w szkołach, muszą znaleźć się lekarze pedagodzy — mogą to być niekoniecznie ginekolodzy, lecz po prostu szkolni lekarze, którzy potrafią uświadamiać i wychowywać.

ZABIEG TEN MOŻNA „UNOWOCZEŚNIĆ”

Asystent kliniki lek. JAN TOMASZEWSKI prowadzi w klinice badania nad wpływem zabiegu przerywania ciąży na ustrój kobiety.

— Ustawa wciąż jeszcze budzi wiele zastrzeżeń, a nawet ma swych gorących przeciwników. — mówi dr Tomaszewski. — W tej chwili, kiedy dalecy jeszcze jesteśmy od powszechnego stosowania środków zapobiegawczych, a czasy kiedy wychowywani ludzie szeroko uświadomionych seksualnie są jeszcze bardzo odległe — ja osobiście uważam ustawę za rzeczywiste dobrodziejstwo, chociaż podkreślam, że sam jestem zwolennikiem nie masowego stosowania zabiegów, lecz masowego zapobiegania.

Myślę jednak, że jak długo obecna sytuacja trwa nie tylko nie należy kwestionować wartości ustawy, ale nie powinniśmy myśleć nawet o wprowadzeniu odpłatności za zabieg. Natomiast należy dążyć do maksymalnego ograniczenia bólu i konsekwencji zdrowotnych, jakie pociąga za sobą zabieg. Myślę o palaciej konieczności nowoczesnego wyposażenia oddziałów, w których dokonywane są zabiegi, a szczególnie uświadczenie narzędzi chirurgicznych. Mam tu na myśli także konieczność stosowania środków znieczulających. Wiadomo powszechnie, że w większości szpitali środków znieczulających nie stosuje się, mimo że zastrzyk nowokainy kosztuje zaledwie 17 groszy. Dokonałem obserwacji grupy kobiet, które przechodziły zabieg bez znieczulenia oraz grupy kobiet, którym zastosowano nowokainę. W wyniku obserwacji stwierdziłem, że znieczulenie ochrania ustrój kobiety przed czynnikami neurogennym, często decydującym o pogłębieniu urazu. Dodatni wpływ znieczulenia uświadcznia się także w okresie uzyskiwania sprawności do pracy i skracca ten okres średnio o 5 dni.

Tyle wybitni lekarze łódzcy. Napawa otucha fakt, że olbrzymia większość zainteresowanych zdaje sobie doskonale sprawę z wagi problemu.

Niepokoń jednak ubogość propozycji. Jesteśmy krajem, dla którego omawiane problemy są niezwykle ważne, a jednak nie zdobyliśmy się dotąd — tak, jak to zrobiło wiele już krajów — na zorganizowanie ogólnopolskiego systemu oświaty sanitarnej w zakresie spraw seksualnych. Wydaje się, że aby problem znalazł skuteczne rozwiązanie konieczne jest opracowanie całego zespołu środków o charakterze ekonomicznym, społecznym, medycznym. Tylko korelacja zorganizowanego systemu może, jak uczy doświadczenie innych krajów, przynieść wyniki. To rzeczywiście powstać może tylko w szerokiej bezpartonowej dyskusji, gdzie racjonalizm a nie dogmaty rej wodzić muszą.

Skarby marmurowego zamczyska

(Dokończenie ze str. 8) wreszcie po trzecim rozbiórce Polski popadła w zupełną ruinę.

Hasło poszukiwania skarbów w zakrzepłych ruinach zrucono tym razem w Instytucie Badań nad Początkami Państwa Polskiego. Zadanie zlecono Wydziałowi Architektury Politechniki Wrocławskiej.

Latem bieżącego roku w wyższej mieszkalnej części zamczyska rozpoczęto pracowite „wykopki”. Naukowcy: mgr Józef Kaźmierczak — archeolog, Jerzy Rozpędowski — architekt przy współudziale miejscowego archeologa mgr Adolfa Nowaka, pod kierunkiem wybitnego znawcy przedmiotu prof. dr Bohdana Guerin z Wrocławia, czuwali nad robotami.

Niebawem po okolicy gruchnęła wieść: „Na Zamku odkopali skarby królowej Bonny...” I tym razem przemówili optymiści wierzący, że zapobiegliwa królowa nie zdołała wszystkiego wywieść do Włoch.

Wkrótce jednak optymistów oblało zimną wodą — jakieś zardzewiałe monety, nie wiadomo z jakiego czasu. Ludzie mimo wszystko są realistami. Dla nich skarby byłby wtedy coś wart, gdyby rzeczywiście zawierał worek dobrego „przepalonego” zioła.

Tymczasem dla członków ekipy naukowej sam proces odkopywania śladów przeszłości zawierał monety wielce pasjonujące.

Jak opowiada mgr Adolf Nowak, gdy pod arkadami od strony południowej dokopano się do pierwszego nawarstwienia bruku, sądzono, że natrafi się na ślady dawniejszej budowli drewnianej. Tymczasem ukazało się drugie nawarstwienie bruku, pod nim trzecie, a pod trzecim natrafiono już na litą skalę.

Na skarby natrafiono pomiędzy pierwszym a drugim brukiem. Za każdą odnalezioną monetą obiecano robotnikom po 100 złotych. Niebawem odnaleziono ich jednak w dużym skupieniu aż siedemdziesiąt. Z obietnicy wyszła zwykła „obiecanka cackanka”. Na jednej ze srebrnych monet udało się wkrótce odczytać łaciński napis. Okazało się, że pochodzi ona z czasów króla-intruza Wacława II.

W tak zwanych warstwach kulturowych pomiędzy brukami odnaleziono również wiele innych skarbów o niewymierzalnej wprost wartości, przedmiotów zabytkowych przeważnie z XIII wieku.

A więc kamień od żarn rotacyjnych, liczne skorupy z naczyń, żelazne groty strzał do kuszy, pierścienie z bursztynowym oczkiem i drugi pierścień z ołowiu, kościane, rzeźbione okładziny rękojeści, nożyce, noże, łaki, małą formę do odlewów z piaskowca, żelazny rak do butów dla ułatwienia chodzenia po skałach, a nawet dziecięcą zabawkę — kościany buczek i inne pomniejsze przedmioty.

Właściwie, określony dotychczas, wiek wykopalisk nie wybiega wstecz poza XIII wiek. Nie trzeba jednak mówić hop, albowiem dokładniejsze ich badania są obecnie przeprowadzane we Wrocławiu.

Ale/ nie na tym koniec. Skarby marmurowego zamczyska będą dalej wydzierane tajemniczej i zachłannej ruinie. Być może, że dalsze badania naprowadzą na dawniejszy rodowód zamku, wiodący aż do czasów Kazimierza Młodego, czy nawet Bolesława Chrobrego jak tego pragną dowiedzieć niekiedy historycy.

BRONISŁAW CHECINSKI

Ku chwale Tysiąclecia

Romualdowi Basiadze urodziło się drugie dziecko. Szczęśliwy rodzic wybrał się do Urzędu Stanu Cywilnego, aby nadać dziecku taką imionę, jakich nie ma w żadnym kalendarzu... Przy sposobności zdecydował się zmienić imiona swemu pierwszemu dziecku: synkowi.

— Jak to? — spytał urzędnik. — To dotychczasowe imiona Eligiusz Sergiusz Remigiusz nie podobają się rodzicom? Daj pan spokój! Eligiusz Sergiusz Remigiusz Basiaga to bardzo ładnie brzmi.

— Co komu mówią te imiona? — Eligiusz Sergiusz Remigiusz, ale skądże?... Kto może coś powiedzieć o tych świętych?... Gdybym nazwał synka Pozytronkiem, Cyklotronkiem, Lunniczkiem, Vanguardem... Sputnikkiem, Melaninem, Plexiglasem albo... Winidurem Polistyrenem, Ultrapasem, to by każdy wiedział w jakiej epoce syn się urodził! W czasach wspinaczki kosmicznej i tworzy sztucznych; mój pan!

— Wobec tego zmieniamy imiona na wymienione przez pana, ale zaznaczam: w kalendarzu tych imion nie ma i mogą nastąpić w związku z tym trudności... Pamiętaj pan, jakie kłopoty miał ten inżynier, co córce dał imię Millenia?

— Ten inżynier, co nazwał córkę Millenia? On miał trudności to prawda, ale gdy urząd pojął, że ojciec czci tym imieniem tysiąclecie Polski, to wszystko poszło jak z płatka.

— Więc na które imiona się pan decyduje? — Takie są za bardzo prozaiczne. Wymieniłem je tylko na rybkę, jak to się mówi.

— To może coś z branży muzycznej?... Na przykład Tamburmajor, Sekstet, Tercet, Kwartet, Triangel, Akordeon, Kontrabas... O! Kontrabas Akordeon Basiaga bardzo ładnie by się wymawiało.

Romuald Basiaga machnął ręką.

— Ani Akordeon, ani Ban-



— No, to jakie?... Niech pan wymieni kilka imion... Ale przed, bo mnie się spieszy... No, wal pan!

Basiaga jął się skrobać po ciemieniu.

— To może Weramon, Olbrot, Opodeldog — jał mu urzędnik pomagać — córce zaś dalbyśmy imiona Piprazyna, Pencillina, Streptomycyna... albo... Aeromycyna, Terramycyna, Chloromycyna... Też ich nie ma w kalendarzu. Też nowoczesne!

— Ani Chloromycyna, ani Aspiryna, ani nawet Cybalgina... One za bardzo przypominają kasę chorych.

Zniecierpliwiony urzędnik spurpurowiał.

— To może Degregolada, Delegacja, Delegaur, Amnestia albo... Kogystencja, Cybernetyka, Statystyka, Ba-



za, Dretwamowa, synkowi zaś zmienimy imiona na Slogan, Remanent, Remont... Co?... Nie konweniują, te imiona?

— Dlaczego pan stroi żarty — rozżalił się Basiaga. — Przyszedłem załatwić, nie... figlować.

— To niech pan się decyduje!... Może coś z historii... Ale prędko, bo mnie się spieszy... Może zaczniemy od Rzepichy?... Rzepicha Basiaga nie?

— Ależ gdzie tam Rzepicha?... Chodzi o jakieś bitwy, o nasz ozeż, rozumie pan?

Zniecierpliwiony urzędnik zamachał pióro w kałamarzu i wpisał ku uczczeniu tysiąclecia oręź polskiego synkowi: Kircholm — Grunwald — Wiedeń, córce zaś, ponieważ była obywatelką pici żeńskiej, Samosierra, Legnica, Ostrołęka, Buczyna.

Mieszaniń

pod redakcją JANA HUSZCZY

Popularność

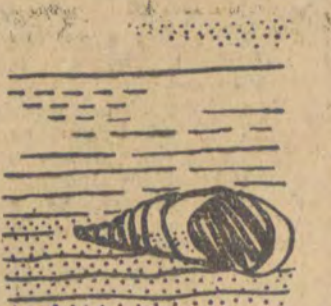
Koleżdy i znajomi, gdy im sprzyja dobry nastrój, mówią niekiedy do mnie, iż jestem dość popularnym i stosunkowo znanym literatem.

Gdy skromnie odpuszczam oczy i próbuję sprzeciwić się, dowodzą swoje zdanie przy pomocy poniższych argumentów:

- a) wydałeś ponad dziesięć książek;
- b) pracujesz na niwie od lat z górą dwudziestu;
- c) twoje feljetyony i wiersze ukazują się nie tylko w pismach prowincjonalnych, ale nieraz i w stołecznych;
- d) od lat bywasz z wieczorami autorskimi w miastach, miasteczkach i osiedlach bez mała całej Polski...



Stucham tego, wylczenia, siląc się na stanowczy sprzeciw. Niestety, nie zawsze ten gest sprzeciwu ma przekonujący urok szczerości.



Ale ostatnio nabrał tego uroku, co zresztą zawdzięcza przypadkowi. Zupełnie bowiem niedawno otrzymałem list od kolegi z lat gimnazjalnych, z którym nie widziałem się od 1936 roku. Myślałem, że tragicznie zginął w zawierusze. Kiedy indziej wydawało mi się, że wyładował w Ameryce (czyli w Kanadzie), kupił farmę i hoduje srebrne lisy. Okazało się zaś, iż od dziesięciu lat mieszka w Łodzi, podobnie jak i ja. A więc adresowany do mnie list odbył króciutką — choć dwu-

dniową — drogę z jednej dzielnicy tego samego miasta do drugiej. W liście tym przeczytałem:

„Drogi Janie... Jakże się ciesze, że z naszej paczki, którą na ogół marny spotkał los, żyjesz jeszcze i Ty, choć byłem przekonany, żeś albo bohatersko zginął w czasie wojny (co czasem nawet napawało mnie dumą), albo też osiadłeś gdzieś w Australii i pasiesz tam kangury...

A dowiedziałem się o Tobie, że żyjesz i o Twoim adresie zupełnie nieoczekiwanie... Oto przedczoraz w jednej z naszych gazet przeczytałem to Twoje ogłoszenie: „Druk stalowy fortepianowy 1,5 i 1,8 mm o wytrzymałości 220-230 zmieniłem na taki sam wymiar o wytrzymałości 165 do 190”...

Drogi Janie! Mam właśnie poszukiwany przez Ciebie drut i chętnie z Tobą się zamienię... Czym prędzej odpisał Oczwiciście, wzywając przy tym nadzieję, iż oferowany przez Ciebie drut jest w dobrym gatunku i nie zechcesz oszukać swojego przyjaciela, który Ci w latach 1932-34 regularnie przysyłał ściągaczki na kłósówkach z fizyki i matematyki...

Napisz mi, czym się zajmujesz? Może jesteś adwokatem, gdyż już w szkole lubiłeś dużo i barwnie lgać?... Pewnie już wyhisiłeś, co? Ja jeszcze trzymam się, kobiety mnie bardzo lubią, gdyż niedawno ustawiłem sobie sztuczną szczękę... Twój Stanisław!”

Nawiązując do...

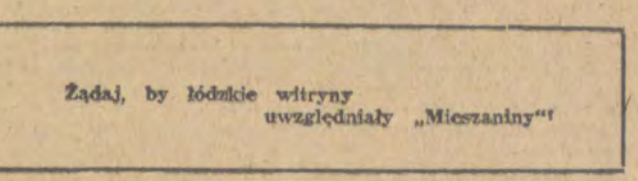
Nawiązując do niedawno przez nas wyrażonych preferencji do pism literackich — musimy publicznie wyrazić uznanie dla „Przeglądu Kulturalnego”, który wprowadził rubrykę, rzeczowo i bez wydziwiania informującą o aktualnie

ukazujących się książkach. Jest to doskonały „Bibliofila notatnik własny”. Tamże — przegląd filmów, przynoszący apodyktyczne, ale zdradające dobry smak i dowiec oceny,

Tydzień bez zjazdów

Jak donoszą ze źródeł dobrane poinformowanych, niebawem ma zostać opracowany

dekret, przewidujący jeden tydzień w roku bez zjazdów. Dekret ma dotyczyć stolicy i miast wojewódzkich.



Zadaj, by łódzkie wityny uwzględniały „Mieszaniń”



Ciekawostki

Niewątpliwie zainteresuje naszych Czytelników, jak wyglądał w „Motozbycie” dzień 2 grudnia br., w którym zaczęto przyjmować deklaracje na zakup w roku 1960 samochodów z importu (o czym donosiliśmy w naszym „Kaciku” z dnia 22 listopada br.).

Otóż, aby stworzyć równe szanse zarówno dla mieszkańców miasta Łódź jak i województwa, otrzymane do rozprządzenia ilości pojazdów podzielono na dwie puli, a przy podpisywaniu deklaracji sprawdzano dowody osobiste. Samochodów nie było dużo, a amatorów wielu, szczególnie na „Wartburgi”, toteż kolejka przed „Motozbytem” uformowała się już... w niedzielę na wieczór. Niestrudzeni „Wart-

burgowicze” czekali więc pełne trzy doby, aby w przyszłym roku jeździć tymi samochodami. Mimo, iż przyszłych właścicieli samochodów zmieniali w koleje żony, babce, wujkowie (i jak twierdzą złośliwi — opłaceni „ciocie-murzyni”), a „Motozbyt” uprzejmie, czesłował gorącą herbatą, trzeba było wyjątkowego samozaparcia i hartu ducha oraz nielicznej kondycji fizycznej, aby dotrzeć do końca. Wśród „kolejkowiczów” panował wyjątkowy ład i subordynacja (o), nie tak jak w kolejkach po cytryny), a wybrani spośród nich samych „samorząd” sprawdzał co dwie godziny, niezależnie od pory dnia czy noce, listę. Trzykrotna nieobecność w czasie „wywoływania” powodowała wykreślenie z listy. Podpisywanie deklaracji rozpoczęło punktualnie o godzinie 9; poprzedzono je komisijnym sprawdzeniem druków. Akcja przebiegała nadzwyczaj sprawnie i szybko tak, iż o godz. 11.15 wydano wszystkie deklaracje na „Wartburgi” na miasto Łódź, a po 15 minutach ostatnią deklarację na tenże wóz na województwo. Ogółem podpisano tego dnia 106 deklaracji, przy czym „Wartburgi” wyprzedano na cały rok 1960, a „Octa-

vie” i „Super-Octavie” na ulic Kilińskiego i Rewolucji pierwszy kwartał.

Jeszcze raz o paskach do „Fiata”

Jak nas zawiadomił „Motozbyt” — została obniżona cena pasków klinowych napędu wentylatora do samochodu „Fiat 600” z 45 zł do 13 zł za sztukę. Cena ta obowiązuje zarówno na paski krajowe jak i z importu.

Zniknął więc jeszcze jeden paradoks cenowy, o którym pisaliśmy w naszym „Kaciku” z dnia 15 listopada br. Ale czy klienci, którzy kupili w „Motozbycie” paski po wygórowanej cenie nie powinni otrzymać zwrotu różnicy zapłaconej ceny?



...nikogo nie interesuje dziu- ta w jezdni na skrzyżowaniu

na ulic Kilińskiego i Rewolucji 1905 r.7...

...w żadnym ze sklepów „Motozbytu” nie można dostać lancuchów przeciwalizgowych na opony samochodowe, szczególnie teraz, gdy ślizgawice utrudniają jazdę!...

...„Motozbyt” nie sprzedaje od pewnego czasu prywatnym odbiorcom ogumienia wymiaru 6.70-15, rezerwując rzekomo to ogumienie dla posiadaczy „Wolg”?... A co mają robić właściciele „Fordów”, „Chevroletów” czy „Opli-Kapitanów”?...

nieco STATYSTYKI

Na terenie m. Łódź wydano w okresie 10 miesięcy br. ogółem 34.753 prawa jazdy, z tego: 20.319 amatorskich i 14.434 zawodowych, w tym: I kategorii — 3.213, II kategorii — 5.601, III kategorii — 5.620.

Pomysł racjonalizatorsko-oszczędnościowy

Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Paltopol” postanowiły do ubrań i swetrów nie przyszywać guzików, ale dołączając je w odpowiednich celofanowych paczkach. Słusznie!

Przegląd prasy

Z życia teatralnego

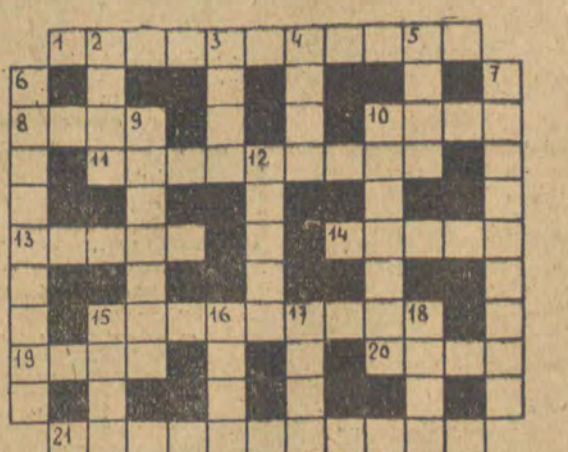
Zbliża się koniec roku, a jeszcze nie zaopatrzyliśmy się w nowy kalendarz książkowy i dlatego z przyjemnością weryfikujemy mocno pożytkie kartki starych... Oto dane o teatrach wędrownych (objazdowych, mówiąc naszym językiem) z końca XIX wieku, odwiedzających znane i nam miejscowości.

Wynika z tych danych, iż teatry wędrowne zaglądały prawie wszędzie. Niestety, kalendarz nie nie wspomina o ich poziomie, no i o frekwencji!

„Towarzystwa prowincjonalne artystów dramatycznych w epoce od d. I Październ. 1872 do końca Września 1873 r. dawały przedstawienia sceniczne w następujących miastach królestwa: Brekera w Sandomierzu, Opatowie, Grójcu, Skierniewicach, Bloniu; Chrzanowskiego w Łęczycy; Gaweckiego w Radomsku, Bełchatowie; Grabieńskiego (nowo utworzone) w Koninie; Kalicińskiego w Toruniu; Kosakowskiego w Nowym Mieście, w Chelmie; Laskowskiego w Grójcu; Modzelewskiego w Sieradzu, Wieluniu, Koninie; Nowickiego w Zdunskiej Woli; Okońskiego w Nowej Aleksandryi (Puławy), w Dęblinie, Tomaszowie Lubel.; Ratajewicza w Piotrkowie, Kutnie, Pinczu, Włodawku, Ciechocinku; Russanowskiego w Łowiczu, Sochaczewie, Sierpcu, Mławie, Pułtusk; Sarneckiego (z Poznania) w Kaliszu; Sulikowskiego w Łodzi, Łęczycy, Słupcy, Wąrcie; Tekla w Suwałkach, Łomży, Piotrkowie, Częstochowie...”

(„Jana Jaworskiego Kalendarz Ilustrowany”, 1874.)

NASZA KRZYŻÓWKA



ZNACZENIE WYRAZÓW:

- 1) Obrona własnej pracy naukowej, 8) Część stołu, 10) Legendarny potwór krakowski 11) Gałąź matematyki, 13) Biała broń, 14) Dar łatwej i pięknej wymowy, 15) Zgoda stron na polubowne załatwienie sporu, 19) Gaz szlachetny, 20) Czarne, 21) Wykres lub opis czynności opracowany przez inżyniera.
- Pionowo — 2) Ozdobny kamień półszlachetny 3) Pora roku, 4) Zespół muzyczny, 5) Dół, 6) Student, który ukończył kurs naukowy, 7) Ubiór nurków, 9) Papier imitujący płótno, używany do malowania gwaszem lub akwarela, 10) Maszyna rolnicza, 12) Błękit, 15) Znak wysokości na mapie.

- 16) Gra w piłkę na koniach, 17) Stolica państwa europejskiego, 18) Legenda.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

Poziomo — wykrok, frykas, radny, epoka, mydło, wydra, blaga, aster, orącz, urlop, plakat, bezana.

Pionowo — walec, kolorystyka, Obra, Rzym, kondygnacja, Szkot, zdun galop, dola, Bzura, ruda, opar.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

- 1. Daniela Topolska, Łódź, ul. Wróblewskiego 9,
- 2. Ignacy Rajski, Łęczycza, Skromnica.

Redaguje zespół :: Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-78 :: Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.- zł, kwartalnie 12.- zł :: Redakcja nie odpowiada za zwrotów nie zwraca :: Prenumeratę przyjmuje w siedzibie placówek pocztowych listonosze oraz PTTBIK „Ruch” — z zastrzeżeniem r. „Odgłosy” :: Druk: DSW „Prasa” w Łodzi, Zwirki 17 Zam. 3829, XII, 5-3.

KOLOROWYM ATRAMENTEM

Przeszło rok temu, w felietonie „Widma”, pomstowałem gromko na brak w Łodzi — Kina Aktualności. Obrazła się ponoć na mnie Centrala Wynajmu Filmów, która za ten stan rzeczy uczyniła odpowiedzialną. Bo to wcale nie wina CWF, że takowe kino zlikwidowano, a przeciwnie — w interesie CWF leży sprawne rozpowszechnianie krótkometrażówek, za które przecież płaci się brzęcząca moneta wytwórciom polskim i zagranicznym. Racja, felieton miał błędny adres, natomiast właściwy adresat siedział cały czas cichutko i Kina Aktualności nadal w Łodzi nie ma — jeśli nie będzie nieporozumienia, co się zwie „Kino Dworcowe”...

Dziś warto wrócić do tej sprawy przy okazji zakończonego niedawno, arcypozytecznego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych.

Wyjaśnijmy jednak od razu — co ma FFK do Kina Aktualności? Ano, ma — i to bardzo wiele. Powiedzmy krótko: sukces Festiwalu wśród łódzkich widzów wysoka frekwencja na wszystkich seansach — stały się wymownym dowodem, że publiczność lubi i chce oglądać zestawy filmów krótkometrażowych. I będzie je oglądać stale, w wydzielonym kinie: o ile, ale o tym za chwilę. Powodzenie FFK dało wyraźny, ekonomicznie wymierny argument za urządzeniem w Łodzi „festiwalu nieustającego”. Czyli po prostu — Kina Aktualności.

Na tym właściwie mógłbym skończyć swoje rozważania, gdyby chciałem pominąć argumenty sceptyków, którzy przypominają smutną plażę „Aktualności” w kinie „Gdynia” przed kilku laty.

Nie ma co, argument poważny! I wcale nie zamierzam go przemilczeć — bo tamta plaża była „zjawiskiem nieuchronnym”, a jednocześnie — bardzo pouczającym. Tylko że ów krach nie oznacza wcale nieuchronnej plaży Kina Ak-

tualności, wskrzeszonego teraz w roku 1959!

Pamiętacie repertuar „Gdyni” przed ośmiu laty — owe przeraźliwe nudziarstwo? W tej zakalcowatej chacie rzadko, jakże rzadko trafiał się smakowity rodzajek. Repertuar — oto najważniejsza i jedyna przyczyna utraty ówczesnych widzów „Gdyni”. Trzeba było nie lada cierpliwości, by przez godzinę wytrzymać trzy kolejne instrukcje o szybkościowym wypalaniu, racjonalnym składowaniu i wzorowej konserwacji... cegiel. Sympaty się te cegły co wieczór na biednych widzów, aż wreszcie widzowie mieli cegiel dosyć.

Dzisiaj: po pierwsze — wachlarz tematyczny produkcji naszych wytwórci jest szeroki i urozmaicony. Po drugie — przeciętna jakość polskich krótkometrażówek niebylewale wzrosła. Po trzecie — wzrosła produkcja filmów kukielkowych, rysunkowych oraz nietypowych odmian — tzw. filmów eksperymentalnych. Po czwarte — sprowadzamy z zagranicy znacznie więcej tytułów — i to filmików rzeczywiście interesujących nie cegiel. Po piąte — mamy nieodkryty dotąd rezerwuwar niebanalnych i różnych pozycji, w firmie pn. Wyższa Szkoła Filmowa. Po szóste... Wystarczy chyba, by udowodnić, że wskrzeszone Kino Aktualności może mieć choćby dwa razy co tydzień naprawdę ciekawy repertuar. Oto podstawa — na której istnienie tego kina będzie niezachwiane.

Oczywiście — zły gospodarz może wszystko zepsuć, sytuując np. kino na dalekich Chojnach. Albo też — można zarządzić kino bezmyślnymi zestawami: na jednym seansie kilka filmów podobnych w gatunku i temacie.

Zakładamy jednak, że gospodarz jest dobrym fachowcem i ma dobre chęci. Niechże się więc szybko zdecyduje! Czas najwyższy, aby krótki metraż przestał być kołem obrotowym na oślarzu rentowności!



„NA WSCHÓD OD EDENU”



„Na wschód od Edenu” nazwać można filmem indywidualności. Są, nimi: dzieło literackie Johna Steinbecka, którego scenarzysta Paul Osborn przerobił na scenariusz. Indywidualnością jest twórca, filmu Elia Kazana, jeden z najbardziej cenionych reżyserów amerykańskich. Wreszcie trzecia indywidualność, która decyduje o powodzeniu tego filmu — stanowi James Dean dwudziestokilkuletni aktor, bożyszcze młodzieży amerykańskiej.

Na temat społecznego oddziaływania Jamesa Deana wypowiedzą się socjologowie. O Jamesie Deanie jako aktorze filmowym pisze bardzo obszernie w swojej książce „Dlaczego właśnie James Dean” Stanisław Grzelecki.

Twórcy filmu „Na wschód od Edenu” rzecz oczywista nie zmieścili w dwugodzinny film całego olbrzymiego materiału literackiego dzieła Steinbecka. Postanowili czerpać tylko z drugiej jego części. Wiele partii powieści musiano pominąć.

Skreślono niestety jedną z postaci, którą każdy z czytelników powieści pamięta — Chińczyka Li — służącego. Słusznie odrzucono demonizację postaci matki.

Scenarzysta i reżyser chcieli oddać nie tyle szczególne fabularne dzieła literackiego, co przede wszystkim jego klimat, atmosferę. Wspaniale np. udało się to w 1941 roku autorom adaptacji filmowej powieści Steinbecka „Grona gniewu” w mniejszym stopniu zaś Kazanowi.

Powstał po prostu film — dramat psychologiczny dwudziestolatka, szukającego miłości u matki i ojca, próbując ciego kupić tę miłość nawet — za pieniądze. „Na wschód od Edenu” pozostało zaledwie „dobrym” filmem, poprawnie zrealizowanym, z dobrymi kreacjami aktorskimi (Jo Van Fleet w roli matki i Julie Harris która odtwarza postać Abry). Dlaczego tylko „dobrym”, tylko „poprawnym” filmem?

Twórczość literacka Steinbecka, zresztą nie tylko „Na wschód od Edenu”, urzeka czytelnika ogromną pasją piarsarską z jaką autor ukazuje swoich bohaterów i ich życie. Może na tym właśnie polega ów tak zwany klimat, atmosfera dzieła. Tej pasji

Steinbecka zabrakło jednak w filmowej adaptacji jego książki.

W czym jednak tkwi re-kompensata dla widza, który przyjdzie obejrzeć film Elia Kazana? Na pewno w dobrym rzemieśle filmowym reżysera, w doskonałej pracy z aktorami. Przede wszystkim jednak tkwi w zaprezentowaniu polskiej publiczności aktora bardzo współczesnego, bliskiego współczesnej młodzieży.

Czuje się, że Kal z powieści Steinbecka, jego życie, prognoza i kompleksy nie były obcymi dla Deana, że w filmie grał samego siebie. Stąd może — choć zabrakło owej pasji i klimatu Steinbecka, odczuwany pasję tego młodego człowieka i aktora.

Film „Na wschód od Edenu” jest dziełem ambitnym próbującym tego, co się niewiele twórcom udało — przełożenia na język filmu dzieła literackiego tak, żeby nie zrobić tylko serii ilustracji. Każdą taką próbę, chociaż nie udaną ale ambitną warto obejrzeć. I warto też obejrzeć film Kazana — choćby tylko dla konfrontacji z własnymi wyobrażeniami pewnych wątków powieści Steinbecka.

A. NIEMIAŁEK

MIŁO NAM DONIEŚĆ, że w bieżącym sezonie Łódź pozyskała świetnego aktora. Ostatnio przeniósł się ze Szczecina do Łodzi — do Teatru Potwoskiego — p. Aleksander Fogiel. Miłośnicy filmu pamiętają z pewnością jego rolę w noweli „Pies” z filmu „Krzyż walecznych” K. Kutza, a także sugestywną postać Apostoła w filmie Petelskiego „Baza ludzi umarłych”. Wkrótce — w „Mieszance filmowej” zamieścimy rozmowę z Aleksandrem Fogiem.

JESZCZE W TYM MIESIĄCU wejdzie na łódzkie ekrany adaptacja filmowa ciekawej powieści A. Fajdejewa „Kleska”. Warto podkreślić, że realizacja tego filmu była w pewnym sensie eksperymentem. Oto kilku słuchaczy moskiewskiej szkoły filmowej projektowało jako temat swoich etud — adaptację fragmentów powieści Fajdejewa. Pomysłem tym zainteresowała się Wytwórnia „Mosfilm”, która zaproponowała studentom połączenie wysiłków i kolektywną realizację filmu pełnometrażowego. Eksperyment — jak warto samemu stwierdzić w kinie — powiódł się.

ALEC GUINNESS zadebiutował w ubiegłym miesiącu w amerykańskiej telewizji, w kamediowej roli skromnego urzędnika bankowego, który świadomie i z premedytacją wprowadza zamęt do ksiąg handlowych, a potem zresztą doprowadza wszystko do porządku i uzyskuje upragniony awans. Występ Guinnessa był kolejnym spektaklem z cyklu prezentowania amerykańskim telewizorom najwybitniejszych aktorów brytyjskich. W październiku podobnie wystąpił miłośnik Gielgud i Laurence Olivier.

ELIA KAZAN, 50-letni reżyser amerykański, autor o-mawianego „obok filmu „Na wschód od Edenu” — jest twórcą zupełnie nieznaną polskiej publiczności. Tymczasem za granicą — oceniana go jako największy talent potocznej kinematografii USA. Kazan debiutował w r. 1945 filmem „W Brooklynie rosło drzewo”. Do tego czasu Kazan interesował się wyłącznie teatrem, jako aktor i reżyser w nowojorskim zespole „Group Theatre”. Po udanym debiucie coraz częściej podejmował realizację filmów. W 1947 r. nakręcił dwa filmy, które przyniosły mu światową sławę: „Boomerang” i „Układ dżentelmeński”. Następne filmy Kazana to „Pinkie” (1949), „Człowiek na linie” (1950), w tym samym roku — „Popłoch na ulicy”. Potem realizuje najlepszy ze swoich dotychczasowych filmów „Tramwaj zwany pożądaniem” (1951). Rok później powstaje „Viva Zapatta” wg scenariusza Steinbecka, w 1954 — „Na nadbrzeżach”, wreszcie w 1955 — „Na wschód od Edenu”. Z późniejszych filmów Kazana wymieniamy się zwłaszcza „Laleczka”. Elia Kazan jest jedynym reżyserem, któremu udało się zdobyć aż 5 „Oscarów”, najwyższych odznaczeń Akademii Filmowej USA.

DONALD



MICHELE MORGAN przywiozła z Hollywood bardzo zle wspomnienia. „We fryzurze a la Madame Pompadour, pod grubą warstwą szminki — czułam się bardziej kłownem, niż aktorką...”



BOGATY SEZON W KINACH

Coraz bogatszy, coraz bardziej różnorodny staje się repertuar naszych kin. Przyszły rok przyniesie ponad dwadzieścia premier filmów fabularnych, polskich i zagranicznych — ilość niespotykaną dotąd w Polsce po wojnie!

Już pierwszy miesiąc 1960 r. daje dobre pojęcie o walorach przyszłorocznego repertuaru. W styczniu zobaczymy w łódzkich kinach premierowych aż 17 nowych filmów:

- 2 filmy polskie — „Lunatycy” (reż. Bohdan Poręba) i „Zobaczmy się w niedzielę” (reż. Stanisław Lenartowicz);
- 5 filmów amerykańskich — „Ostatnie akordy”, „Amerykanin w Paryżu”, „Ojciec narzeczonej”, „Kłopotliwy wnuczek” i „Bulwar zachodzącego słońca”;
- 3 filmy NRD — „Rywal przy kierownicy”, „Amigo” i „Proces został odroczony”;
- 2 filmy czeskosłowackie — „Romans na przedmieściu” i „Zdrada”;
- oraz — jeden film radziecki („Dwa oblicza Nataszy”), jeden francuski („Wichrabiła de Bragelone”), jugosłowiański („Bez rozkładu jazdy”), angielski („Jak zabić bogatego wujka”) i jeden film japoński („Morderca mimo woli”).



Deanna Durbin, najpopularniejsza aktorka filmowa przed 20 laty... Pozostaje tylko westchnąć: jakże inne są dzisiaj gusty kinomanów...

DZIS „Odgłosy Telewizyjne” ustąpiły miejsca starszej siostrze — „Mieszance Filmowej”.

ZA TYDZIEŃ wszystko jak zwykle. NA TEJ STRONIE „Odgłosy Telewizyjne”.

SPECJALNE „Odgłosy Telewizyjne” w środku numeru świątecznego „MIESZANKA FILMOWA”

Do Czytelników!

19 stycznia 1960 r. przyznane będą nagrody „Odgłosów”. Zgodnie z regulaminem Czytelnicy mają prawo sugerować jury kandydatów do tych nagród. Redakcja prosi o nadsyłanie uzasadnionych propozycji w terminie do 6 stycznia 1960 r. Listy prosimy adresować: „Odgłosy”. Łódź, Piotrkowska 96, jury nagród „Odgłosów”

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

ZŁA NOC W KINIE



Tego właściwie trzeba było się spodziewać. Tym przed kasami i dwie potężne, ale to ogromne chwały. Kulturalna publiczność może się usprawiedliwiać: nie wiedzieliśmy, myślicielami, że jak w nocy, to dadzą coś dobrego...

Publiczność może, ale nie musi się usprawiedliwiać. Publiczność chce się w późne, sobotnie wieczory jakoś zabawić. Idzie do kina na film taki, jaki akurat wyświetlają. Po dźwiękowej — w europejskim,

milionowym niemal mieście nie ma żadnego wyboru.

a sobotnim seansie nocnym wyświetlono „Wichrabiła de Bragelone” reżyserii Fernanda Cerchio i „Ojca narzeczonej” Vincenta Minnelli. „Wichrabiła de Bragelone”, to film adresowany najprawdopodobniej do młodzieży. Dużo fechtunku i gatopujących koni, trochę miłości, a nie treści. Najłatwiejsza jaka może być adaptacja Dumasa. Samograj.

Niestety, realia i sytuacje z których, zbudowany jest, ten film (a trzeba przyznać — zbudowany zresztą już w parę lat po dwudziestce przestaje,

bawić. Poczesa fakt, że właśnie dzięki takim dobrze zarabiającym kiczom mogą powstawać wielkie dzieła filmowe.

„Ojca narzeczonej” (produkcja amerykańskiej) — pretensjonalna satyrka na wesela i inne tradycyjne zwyczaje związane z ożenkiem — można ścierpieć do końca chyba tylko ze względu na ciekawego aktora — Spencera Tracy — w tytułowej roli. Podoba się jego autentyczna, zafasowana twarz i dystans z jakim podchodzi do swej roli. Spencer Tracy, to taki aktor, który wie, że musi bawić widzów, ale i wie także,

że sam się przy tym może świetnie zabawić.

Jednak dla niego tylko i dla dwóch dobrych scen (próba ślubu w kościele oraz sen ojca narzeczonej w noc przedślubną) — pójść na ten film nie warto.

A to co najwięcej ubawiło widzów — po raz drugi prawdopodobnie się nie powtórzy. To tylko my, uczestnicy nocnego seansu w kinie „Wolność”, mieliśmy okazję usłyszeć gdzieś w połowie filmu spadającego z krzesła człowieka, który smacznie spał.